

MARIO
VARGAS LLOSA
Pochwała macochy



MARIO
VARGAS LLOSA
Pochwała macochy

Przełożył Carlos Marrodán Casas



Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

*Luisowi G. Berlandze
czułością i podziwem*

*Il faut porter ses vices comme un
manteau royal, sans bête. Comme une
auréole qu'on ignore, dont on fait semblant
de ne pas s'apercevoir.*

*Il n'y a que les êtres à vice dont le contour
ne s'estompe dans la boue byaline de
l'atmosphère.*

*La beauté est un vice, merveilleux, de la
forme.**

César Moro, *Amour à mort*

* Należy swoje ułomności nosić jak szaty królewskie, ze spokojem. Jak aureolę, którą lekceważymy, udając, że jej nie dostrzegamy.

Tylko sylwetki ułomnych nie rozmywają się w mętnej przejrzystości atmosfery.

Piękno jest cudowną ułomnością formy.

1

Urodziny doñi Lukrecji

W dniu czterdziestych urodzin doña Lukrecja znalazła na poduszce laurkę wykaligrafowaną z wielką czułością przez dziecięcą rączkę:

„Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, macocho!

Nie mam pieniędzy na prezent dla ciebie, ale będę się pilnie uczył, zostanę prymusem i to będzie mój prezent. Jesteś dobra jak nikt i jesteś najpiękniejsza, i co noc mi się śnisz.

Jeszcze raz wszystkiego najlepszego!

Alfonso”

Minęła już północ, a don Rigoberto wciąż siedział w łazience oddając się skomplikowanym i powolnym ablucjom przed nocnym spoczynkiem. (Dbałość o higienę cielesną była, prócz malarstwa erotycznego, jego ulubionym zajęciem; czystość duchowa już go tak nie pociągała). Wzruszona życzeniami chłopca, doña Lukrecja poczuła nieprzewartą chęć, by zajrzeć do niego i podziękować za laurkę. Tych parę linijek, tak naprawdę, oznaczało, że została zaakceptowana jako nowy członek rodziny. Śpi już? Nieważne! Nawet jeśli śpi, pocałuje go w czołko, bardzo ostrożnie, żeby go nie zbudzić.

Zeszła po obitych dywanikiem schodach rezydencji tonącej w ciemnościach i podążając ku sypialni Alfonsa, myślała: „Już jest mój, kocha mnie”. I wszystkie jej uprzednie obawy co do chłopca zaczęły rozwiewać się jak delikatna mgiełka w letnim słońcu Limy. Zapomniała narzucić szlafrok, była naga pod lekką koszulką z czarnego jedwabiu i jej białe, bujne, wciąż jędrne kształty, zdawały się płynąć w półmroku rozjaśnianym od czasu do czasu blaskiem ulicznych świateł. Miała rozpuszczone długie włosy i nie zdążyła jeszcze zdjąć po przyjęciu kolczyków, pierścionków i naszyjników.

W pokoju dziecka – prawda! Fonsio zawsze czyta do późna! – paliło się światło. Doña Lukrecja delikatnie zapukała i weszła. W żółtawym blasku nocnej lampki wychyliła się zza okładki książki Aleksandra Dumasa wystraszona twarzyczka Bożego Dzieciątka. Rozwichrzone złote loki, rozchylone zdumieniem usta ukazujące podwójny rząd bieluteńkich zębów, ogromne, szeroko otwarte, niebieskie oczy usiłujące wyłowić ją z mroku. Doña Lukrecja stała nieruchomo, przypatrując mu się z czułością. Śliczny

chłopczyk! Urodzony anioł, jeden z tych paziów ze swawolnych rycin, które jej mąż trzyma pod kluczem.

– To ty, macocho?

– Jaka piękną laurkę mi wypisałeś, Fonsiu. To najpiękniejszy prezent urodzinowy, jaki dostałam w życiu, przysięgam.

Chłopczyk poderwał się jednym susem i już stał na łóżku. Uśmiechał się, wyciągając do niej ręce. Podchodząc do niego, również z uśmiechem, doña Lukrecja podchwyciła – odgadła? – radosne i pełne zakłopotania spojrzenie pasierba, który, osłupiały, gapił się na jej biust. „Mój Boże, przecież jesteś prawie naga – pomyślała. – Jak mogłaś, idiotko, zapomnieć o szlafroku. Co za widok dla biednego dziecka”. Czyżby wypić o parę kieliszków za dużo?

Ale Alfonsito już ją obejmował: „Wszystkiego najlepszego, macocho!”. Jego głos, świeży i beztroski, rozświetlał noc. Doña Lukrecja poczuła przywierającą do jej ciała wątłą postać o kruchych kościach i pomyślała o wróbelku. Przyszło jej na myśl, że jeśli zbyt mocno przytuli dziecko, chłopczyk złamie się jak trzcina. Teraz, gdy stał na łóżku, byli tego samego wzrostu. Zarzucił jej na szyję szczuplutkie ramiona całując z niezwykłym oddaniem w policzek. Doña Lukrecja również go przytuliła, a jedna z jej rąk, wśliznąwszy się pod granatową w czerwone paski piżamę, przesunęła się po jego plecach i poklepała opuszkami palców delikatne wypukłości kręgosłupa. „Bardzo cię kocham, macocho”, wyszeptał głosik tuż przy jej uchu. Doña Lukrecja poczuła, jak drobne dziecięce wargi zatrzymują się tuż przy jej uchu, rozgrzewają je swym oddechem, całują, i lekko, żartobliwie kęsają. Miała wrażenie, że Alfonsito pieszcząc ją śmieje się zarazem. Wzruszenie rozsadzało jej piersi. I pomyśleć, że przyjaciółki przestrzegały ją, iż ten pasierb będzie największym problemem w jej małżeństwie i z jego powodu nigdy nie będzie szczęśliwa z don Rigobertem. Rozczulona pocałowała go również, w policzki, w czołko, w rozwichrzone włosy, doznając jednocześnie nieokreślonego, jakby odległego i niewyraźnego wrażenia, że dziwny dreszcz przenika ją od stóp po głowę, zwłaszcza w tych miejscach – na piersiach, brzuchu, zewnętrznej stronie ud, szyi, ramionach, policzkach – których dotykało dziecko. Ale Alfonsito nie puszczał jej. Wprost przeciwnie, trzymał ją z całej siły i niemal śpiewając powtarzał: „Bardzo, ale to bardzo, macocho, ciebie najbardziej z wszystkich”. Po czym jego rączki oplótły jej głowę i przechyliły do tyłu. Doña Lukrecja poczuła grad pocałunków na czole, na powiekach, na brwiach, na policzku, na podbródku... Kiedy drobne wargi

musnęły jej usta, zmieszana zacisnęła zęby. Czy Fonsio zdaje sobie sprawę z tego, co robi? Powinna go zdecydowanie odepchnąć? Ależ nie, skądże, jak tu podejrzewać o najmniejszą choćby przewrotność tę trzpiotowatą figlarność ruchliwych ust, które pobłądziwszy w geografii jej twarzy kilkakroć łapczywie przywarły do jej ust.

– Starczy tego, a teraz spatulki – powiedziała, uwalniając się wreszcie z ramion dziecka. Starła się okazać, wbrew oczywistości, że całkowicie panuje nad sobą. – Bo możesz zaspać i spóźnisz się do szkoły, kochanie.

Dzieciak potakując położył się na łóżku. Uśmiechnięty, z zaróżowionymi policzkami, przyglądał się jej z wyrazem uniesienia na twarzy. Przewrotność? W tym maluchu? Ta rozbrajająca buzia, psotne oczy, drobne, wiercące się pod prześcieradłem ciało – czyż nie jest to uosobienie niewinności? To ty, Lukrecjo, jesteś zepsuta! Przykryła go, poprawiła poduszkę, pocałowała w kręcone włosy i zgasiła lampkę. Kiedy wychodziła z pokoju, usłyszała słodki szczebiot:

- Zostanę prymusem i to będzie mój prezent dla ciebie!
- Przyrzekasz, Fonsito?
- Jak Bożę kocham.

W przyjaznym zaciszu schodów doña Lukrecja poczuła, że cała płonie. „Przecież to nie z gorączki”, stwierdziła oszołomiona. Czy to możliwe, by nieświadoma pieśczoła dziecka doprowadziła ją do takiego stanu? Kobieto, stajesz się rozwiązła. Czyżby to był pierwszy objaw starzenia się? Bo nie ulegało wątpliwości, że cała płonęła i miała wilgotne nogi. Co za wstyd, Lukrecjo, co za wstyd! I nagle przemknęło w jej pamięci wspomnienie związane z pewną jej wyuzdaną przyjaciółką, która w trakcie przyjęcia, wydanego w celu zebrania funduszy na Czerwony Krzyż, wywołała rumieńce wstydu i nerwowy chichot przy swoim stole wyznając wszem i wobec, że przespane nago sjesty obok małego pasierba drapiącego ją w plecy rozpala ją jak pochodnię.

Don Rigoberto, rozebrany, leżał na granatowej kołdrze w deseń przedstawiający skorpiony. W ciemnym pokoju, tylko trochę rozjaśnionym blaskiem ulicznych świateł, jego długa biaława postać, owłosiona na piersiach i wżgórku łonowym, spoczywała bez ruchu, kiedy doña Lukrecja po zdjęciu pantofli kładła się obok nie dotykając go. Czyżby mąż już spał?

– Gdzie byłaś? – usłyszała jego miękki, ospały szept, tak dobrze jej znany głos męczyzny znajdującego się u kresu nadziei. – Czemu mnie zostawiłaś samego, życie moje?

– Chciałam pocałować na dobranoc Fonsita. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki list urodzinowy dostałam od niego. Taki słodki, że o mało co się nie popłakałam.

Zorientowała się, że ledwie jej słucha. Poczula prawą dłoń don Rigoberta na swoim udzie. Parzyła jak gorący kompres. Jego palce zaczęły niezgrabnie przedzierać się przez fałdy i plisy nocnej koszuli. „Zauważy, że jestem cała mokra”, pomyślała zakłopotana. Uczucie skrępowania natychmiast jednak minęło, bo ta sama gwałtowna fala ciepła, która zaskoczyła ją na schodach, ponownie załała jej ciało, usztywniając je zarazem. Odniosła wrażenie, że wszystkie pory rozwarły się w niecierpliwym oczekiwaniu.

– Fonsito widział cię w nocnej koszuli? – zaczął mającym roznamiętniony głos męża. – Nabijesz głowę małemu zdrożnymi myślami. Może dziś w nocy będzie miał swój pierwszy erotyczny sen.

Usłyszała jego podniecony chichot i też się zaśmiała: „Co ty wygadujesz, wariacie”. Jednocześnie, niby to chcąc mu dać klapsa, opuściła lewą rękę na brzuch don Rigoberta. Ale dłoń opadła na pulsującą i unoszącą się ludzką włócznie.

– No, no a to co znowu? – zawołała doña Lukrecja ściskając ją, ciągnąc, puszczając i ponownie chwytając.

– Spójrz no tylko, co za niespodzianka.

Don Rigoberto już ją przyciągnął do siebie i całował wsysając się w jej usta. Przez dłuższą chwilę, przymknawszy oczy, czując, jak koniuszek męzowskiego języka penetruje grotę jej ust, wędruje po dziąsłach, podniebieniu, gorliwie usiłuje wszystkiego posmakować i rozpoznać wszystko, doña Lukrecja pograżyła się w szczęśliwym intensywnym i pulsującym oszołomieniu, które zdawało się osłabiać jej ciało, unicestwiać, unosić, zatapiać, porywać w wir. Na samym dnie tego wiru, który był nią, życiem, chwilami spostrzec było można – jakby wyłaniała się i zanikała w zwierciadle tracącym swe lustrzane srebro – nieproszoną twarzą rumianego aniołka. Mąż podwinał jej koszulę i pieścił jej pośladki jednostajnymi, kolistymi ruchami, całując zarazem piersi. Słyszała, jak czule

szeptce, że ją kocha, że dzięki niej zaczęło się dla niego prawdziwe życie. Doña Lukrecja pocałowała go w szyję i delikatnie dotknęła zębami jego sutek, póki nie usłyszała jęku, następnie zaczęła lizać owe tak bardzo ją podniecające gniazda, które don Rigoberto przed udaniem się na nocny spoczynek starannie wymył i wypachnił dla niej: pachy. Usłyszała, jak mruczy niczym przymilający się kot i skręca się pod jej ciałem. Jego dłonie zaczęły z ponaglącą zaciętością rozwierać nogi doñi Lukrecji. Zmusiły jej ciało do przykucnięcia na nim, przywarcia do niego, do otwarcia się. Jęknęła poczuwszy ból i rozkosz, dostrzegając zarazem, w mętным zawirowaniu, wizerunek świętego Sebastiana przeszytego strzałami, ukrzyżowanego i wbitego na pal. Miała wrażenie, że została trafiona prosto w serce. Przestała się hamować. Z na wpół przymkniętymi oczami, z rękami założonymi za głowę, prężąc piersi, puściła się w cwał na swym miłosnym źrebięciu kołyszącym się razem z nią, w tym samym rytmie, przeżuwając słowa, które ledwie była w stanie wypowiedzieć, dopóki nie poczuła, że umiera.

– Kim jestem? – zaczęła dopytywać się gnając na oślep. – Kim byłam, powiedz?

– Małżonką króla Lidii, kochanie – wybuchnął don Rigoberto, błędząc w sennych majakach.

2

Kandaules, król Lidii



Jacob Jordaens - *Kandaules, król Lidii, pokazuje swą małżonkę pierwszemu ministrowi Cygesowi* (1648), olej na płótnie, Sztokholm, Muzeum Narodowe

Jam jest Kandaules, król Lidii, małej krainy pomiędzy Jonią a Karią, w samym sercu terytorium, które po upływie wieków zwać się będzie Turcją. Tym, co najbardziej wbija mnie w dumę, nie są popekane od spiekoty góry mojego królestwa ani pasterze trzód kozich, podejmujący, w razie potrzeby, zwycięską walkę zarówno z najeźdźcami frygijskimi i eolskimi, z Dorami przybywającymi z Azji, jak i przeciw bandom Fenicjan, Lacedemończyków i nomadów scytyjskich, docierających tu z zamiarem splądrowania naszych kresów – lecz zad Lukrecji, mej małżonki.

Powiadam i powtarzam: zad. Nie zadekczek, nie dupa, nie pośladki, nie tyłek, lecz zad. Albowiem wrażenie, któremu ulegam, gdy go dosiadam, jest takie, a nie inne: a mianowicie, że oto cwałuję na muskularnej, o aksamitnej maści, raczej i posłusznej klaczy. Jest to zad twardy i nieomal tak wielki, jak to głoszą przeróżne legendy, które obiegają królestwo rozpalając wyobraźnię moich poddanych (do moich uszu docierają wszystkie, ale nie uwłaczają mi, wprost przeciwnie, pochlebiają). Kiedy nakazuję jej klęknąć i dotknąć czołem dywanu, tak iżbym mógł przyjrzeć się zadowi do syta, ów cudny obiekt osiąga swoje najbardziej urzekające rozmiary. Każda z półkul jest cielesnym rajem; obie, rozdzielone delikatną, pokrytą niemal niedostrzegalnym meszkiem szczeliną zanurzają się w lesie bieli, czerni i rozkosznych jedwabistości wieńczących solidne kolumny ud, nasuwają mi na myśl ołtarz czczony przez wyznawców owej barbarzyńskiej, a przez naszą religię wykorzenionej, wiary babilońskiej. Twardy w dotyku, słodycz niesie ustom; nieogarnięty dla ramion, ciepły w chłodne noce, jest czułą poduszką dla znużonej głowy i źródłem rozkoszy w godzinę miłosnego natarcia. Wniknąć weń nie jest rzeczą łatwą; bolesną raczej, z początku, a nawet heroiczną, zważywszy opór, jaki stawia ta różowawa mięsistość męskiemu szturmowi. Niezbędny jest tu ktoś obdarzony nie cofającą się przed niczym i nikim twardą wolą i równie nieustępliwym, wytrwałym, przesywającym dogłębnie trzpieniem – ktoś taki jak ja.

Kiedym wyznał Gygesowi, synowi Dascyla, dowódcy mojej straży przybocznej i ministrowi zarazem, iż dumniejszy jestem z wyczynów mojej pały z Lukrecją na sunącym pod pełnymi żaglami okazałym statku małżeńskiego łóża niż z moich dokonań bitewnych czy z bezstronności, z jaką wymierzam sprawiedliwość, on uznawszy to za dowcip wybuchnął śmiechem. Ale to nie był dowcip: świadczę własną osobą. Wątpię, aby wielu moich poddanych mogło mierzyć się ze mną. Pewnej nocy – a byłem pijany –

chcąc jedynie utwierdzić się w tym mniemaniu, wezwałem do sypialni Atlasa, najlepiej uzbrojonego spośród etiopskich niewolników. Skłoniłem Lukrecję, by klękała przed nim, jemu zaś rozkazałem, by jej dosiadł. Nie dokonał tego, być może wylękniony moją obecnością, a może dlatego, że wyzwanie przekraczało jego możliwości. Widziałem, jak wielokrotnie nacierał śmiało, parł dysząc i cofał się pokonany. (Mając na względzie, iż pamięć o tym epizodzie sprawiała Lukrecji istne katusze, kazałem później ściąć głowę Atlasowi).

Bo zaprawdę, ja kocham królową. Wszystko w mojej małżonce, w przeciwieństwie do wybijającej wspaniałości jej zadu, jest łagodną słodyczą: jej ręce i nogi, jej kibić i usta. Obdarzona jest zadartym nosem i tęsknymi oczami o tajemniczo spokojnych wodach, które rozkosz jedynie i gniew potrafią wzbudzić. Przebadałem ją, tak jak czynią to erudyci ze starymi foliami w Świątyni, i aczkolwiek zdaje mi się, iż znam ją na pamięć, nie ma dnia – a raczej nocy – bym nie odkrył w niej czegoś nowego, co jeszcze bardziej mnie rozczula: łagodnej linii ramion, figlarnej kosteczki łokcia, subtelności podbicia stopy, krągłości kolan i błękitnej przejrzystości pach.

Są i tacy, którzy nader szybko nużą się swą prawowitą małżonką. Małżeńska rutyna zabija pożądanie, filozofują, jakież to marzenia są w stanie przetrwać i burzyć krew mężczyzny sypiającego miesiącami i latami z tą samą kobietą. We mnie jednak, i to pomimo już wielu lat małżeństwa, Lukrecja nie wzbudza cienia niechęci. Nigdy mnie nie znudziła. Kiedy wyruszam na łowy na tygrysa i słonia lub na wojnę, na jej wspomnienie serce goreje mi równie silnie jak za pierwszych dni, kiedy zaś pieczę jedną z mych niewolnic lub jakąkolwiek inną kobietę, by odpędzić nocną samotność w namiocie, moje dłonie odczuwają zawsze bolesne rozczarowanie: to są zaledwie zadeczki, pośladki, tyłeczki, dupcie. Ona jedynie – o, ukochana! – obdarzona jest zadem. Dlatego jestem jej wierny; dlatego ją miłuję. Dlatego tworzę dla niej wiersze, które recytuję jej na ucho, a gdy jesteśmy sam na sam, padam twarzą na ziemię, by całować jej stopy. Dlatego jej kufry napełniłem klejnotami i szlachetnymi kamieniami i rozkazałem sprowadzić z wszystkich stron świata owe trzewiki, szaty i ozdoby, których nigdy nie zdoła nawet przymierzyć. Dlatego wielbię ją i dbam o nią, jak o najcenniejsze bogactwo mego królestwa. Bez Lukrecji życie dla mnie oznaczałoby śmierć.

To, co rzeczywiście przydarzyło się z Gygesem, dowódcą mojej straży i ministrem zarazem, ma niewiele wspólnego z krążącymi na ów temat

plotkami. Żadna z wersji, która dotarła do mych uszu, nie ociera się nawet o prawdę. Zawsze tak jest: aczkolwiek fantazja i rzeczywistość mają to samo serce, ich twarze są jak dzień i noc, jak ogień i woda. Nie było mowy o żadnym zakładzie czy transakcji; wszystko zdarzyło się nieoczekiwanie, już to wskutek mojego nagłego odruchu, już to przez przypadek lub w wyniku intrygi jednego ze swawolnych bożków.

Uczestniczyliśmy w nieskończonej długiej ceremonii na przylegającym do Pałacu polu, gdzie zgromadzone plemiona składały mi daninę, ogłuszając nasze uszy barbarzyńskimi śpiewami, oślepiając nas zarazem wzbijanymi przez akrobacje jeźdźców tumanami kurzu. Wystąpiła przed nami również para owych czarowników leczących wszelkie przypadłości za pomocą popiołów zmarłych oraz święty, który modlił się kręcąc się wokół własnej osi na piętach. Ten ostatni zrobił na nas duże wrażenie: siłą swojej wiary i w wyniku odpowiednich, towarzyszących tańcowi, ćwiczeń oddechu – chrapliwemu, wzrastającemu dyszeniu wychodzącemu jakby z jego trzewi – przeistoczył się w ludzką trąbę powietrzną, wirując w pewnym momencie z taką szybkością, iż zniknął nam z oczu. Kiedy ponownie ucieleśnił się i zatrzymał, spływał potem niczym konie po szarzy, błądy, oszołomiony, ze wzrokiem nieprzytomnym tą nieprzytomnością oczu, które ujrzały jednego z bogów lub wielu.

O czarownikach i świętym wiedliśmy rozmowę z moim ministrem, kosztując greckiego wina, kiedy zacny Gyges, z owym przewrotnym błyskiem w oczach pojawiającym się, ilekroć przekroczy miarę w picciu, zniżył nagle głos i wyszeptał:

– Egipcjanka, którą ostatnio kupiłem, ma najpiękniejszy z tyłków, jakimi Opatrzność kiedykolwiek obdarzyła kobietę. Jej obliczu daleko do doskonałości; piersi drobne i poci się nadmiernie; ale obfitość i szczodrość zadnich części aż nadto wynagradza wszystkie jej ułomności. Jest to coś, Wasza Królewska Mość, na wspomnienie czego dostaję zawrotów głowy.

– Pokaż mi go, ja zaś pokażę ci inny. Porównamy i zadecydujemy, który jest lepszy, Gygesie.

Spostrzegłem, że zmieszał się, zamrugnął powiekami, otworzył usta, by wreszcie nic nie powiedzieć. Czyżby sądził, że sobie z niego dworuję? Może obawiał się, że się przesłyszał? Mój dowódca straży i minister dobrze wiedział, o kim mówimy. Wystąpiłem z tą propozycją nie zastanawiając się,

lecz gdy już padła, słodkawy robaczek począł toczyć mój mózg i wzniecać pragnienie.

– Oniemiałeś, Gygesie. Co ci się stało?

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć, panie. Jestem zakłopotany.

– Widzę. Ale zdecyduj się wreszcie. Przyjmujesz moją propozycję?

– Wasza Królewska Wysokość dobrze wie, że jego pragnienia są i moimi pragnieniami.

W ten oto sposób zaczęło się wszystko. Wpierw udaliśmy się do jego rezydencji i w głębi ogrodu, w części gdzie mieszczą się łaźnie, podczas gdy pociliśmy się, a masażysta przywracał siły naszym członkom, przebadalem Egipcjanke. Kobieta nader wysoką, o twarzy zniszczonej bliznami po owych ranach, które ludzie jej rasy zadają, poświęcając dojrzewające dziewczyny swemu krwiożerczemu bogu. Młodość miała już za sobą. Jednakże była interesująca i atrakcyjna, przyznaję. Jej hebanowa skóra lśniła w chmurach pary jak wypolerowana, a wszystkie jej ruchy i obejście ujawniały niezwykłą dumę. Nie dostrzegało się w niej najmniejszej choćby oznaki owej nikczemnej służalczości, tak często spotykanej u niewolników usiłujących jak bądź wkraść się w łaski swych panów, cechował ją raczej elegancki chłód. Nie rozumiała naszej mowy, ale w lot chwytala polecenia wydawane jej na migi przez pana. Kiedy Gyges przekazał jej, co pragniemy ujrzeć, Egipcjanka, obrzuciwszy nas swym jedwabistym i pogardliwym spojrzeniem wykonała pół obrotu, schyliła się i uniósłszy rękami tunikę, obdarzyła nas swym zadnim światem. Był, istotnie, znaczący i pełen cudowności dla kogoś, kto nie był mężem Lukrecji, królowej. Twardy i kulisty, owszem, o delikatnie skręcających liniach, pokryty gładką, drobnoziarnistą skórą o błękitnawym odcieniu, po której spojrzenie ślizgało się niczym po morskich falach. Złożyłem jej wyrazy uznania, a i powinszowałem mojemu dowódcy i ministrowi, iż jest właścicielem tak słodkiej rozkoszy.

Pragnąc przeprowadzić pozostałą i mnie przynależną część propozycji, musieliśmy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Owo zdarzenie z Atlassem, niewolnikiem, stało się przyczyną udręki mej małżonki, wspominałem już o tym; a przystała na to, bo Lukrecja zaspokaja wszystkie moje kaprysy. Ale naonczas, gdy Atlas i ona bezowocnie starali się odegrać wytwór mej fantazji, ujrzałem ją tak dalece zawstydzoną, iż poprzysiągłem sobie nigdy nie poddawać jej podobnym próbom. Jeszcze teraz, choć od tamtego incydentu upłynęło tak wiele czasu, a z biednego Atlasa nie pozo-

stało już nic prócz białych kości w cuchnącym wąwozie pełnym sępów i sokołów, gdzie zrzucano jego szczątki, królowa budzi się czasem po nocach w mych ramionach przejęta trwogą, w jej snach bowiem gorejący cień Etiopczyka ponownie kładzie się na niej.

Tym razem więc przygotowałem wszystko tak, aby ma ukochana o niczym nie wiedziała. Takie przynajmniej były moje zamiary, aczkolwiek, rozpamiętując rzecz całą, grzebiąc w zakamarkach pamięci, by uzmysłwić sobie wydarzenia owej nocy, powątpiewam czasami.

Wpuściłem Gygesa furta ogrodową i wprowadziłem do komnat w chwili, gdy panny służebne rozbierały Lukrecję, perfumowały i maściły olejkami, które tak lubię wachać i smakować na jej ciele. Poleciałem mojemu ministrowi, by skrył się za balkonową zasłoną, nakazując zarazem, by nie zdradził się żadnym ruchem ni hałasem najmniejszym. Podpatrując z tego kąta miał doskonały widok na wspaniałe łoże z rzeźbionymi kolumnami, prowadzącymi doń małymi schodkami, osłonięte zasłonami z czerwonej satyny, całe w poduszeczkach, jedwabiach i haftach przepięknych, gdzie każdej nocy udajemy się z królową na spoczynek miłosny. I zgasiałem wszystkie kaganki, tak iż sypialnię oświetlały jedynie trzaskające jęzory ognia.

Lukrecja weszła w chwilę później, płynąc w powiewnej, w półprzezroczystej koszuli z białego jedwabiu, obrzeżonej misternymi koronkami na przegubach i przy szyi. Miała na sobie naszyjnik z pereł, czepek, jej stopy zaś obute były w pilśniowe pantofle, na wysokim, drewnianym obcasie. I taką ją miałem przed oczyma przez czas jakiś, smakując ją wzrokiem, obdarzając mego zacnego ministra tym widowiskiem godnym wyłącznie bogów. I przypatrując jej się i myśląc, że Gyges także to czyni, poczułem nagle, iż owo przewrotne łączące nas współnictwo roznieca we mnie żądze. Bez słowa rzuciłem się na nią, pchnąłem na łoże i dosiadłem jej. Gdy ją pieściłem, ukazywało mi się brodate oblicze Gygesa, i myśl, iż nas podgląda, jeszcze bardziej mnie rozpaliała, doprawiając moją rozkosz słodkokwaśną i pikantną przyprawą, do tej pory mi nie znaną. A ona? Domyślała się czegokolwiek? Wiedziała? Albowiem wydaje mi się, że nigdy nie czułem jej tak rozognionej, tak pożądlivej w ofiarowywaniu i przyjmowaniu, tak śmiałej w kąsaniu, w pocałunkach, w uściskach. Być może przeczuwała, iż tej nocy doznajemy, w tym rozżarzonem od płomieni i pożądania pokoju, rozkoszy nie we dwoje, lecz we troje.

Kiedy o świcie, widząc, iż Lukrecja usnęła, wymknąłem się na palcach z łoża, by poprowadzić mego dowódcę i ministra ku wyjściu z ogrodu, zastałem go dygocącego z zimna i zadziwienia.

– Wasza Wysokość ma rację – wybełkotał trzęsąc się w upojeniu. – Widziałem go i zaiste jest tak wspaniały, iż nie mogę dać temu wiary. Widziałem go i wciąż nie mogę oprzeć się wrażeniu, że było to jedynie senne widziadło.

– Zapomnij o tym wszystkim jak najszybciej i na zawsze, Gygesie – rozkazałem mu. – Obdarzyłem cię tym przywilejem w chwili dziwaczного uniesienia, bez zastanowienia, przez wzgląd na moją życzliwość wobec twej osoby. Ale: język za zębami. Nie życzylbym sobie, aby zdarzenie owo przerodziło się w knajpianą pogłoskę i bazarową plotkę. Mógłbym pożałować, że w ogóle cię tu sprowadziłem.

Przysiągł, iż nigdy słowem o tym nie wspomni.

Ale uczynił to. Nie inaczej, bo i skąd wzięłoby się tyle opowieści o tym wydarzeniu? Poszczególne wersje wzajemnie sobie przeczą, a jedna bardziej bzdurna i kłamliwsza od drugiej. Dochodzą naszych uszu i choć z początku napełniały nas gniewem, teraz wyłącznie nas bawią. Stało się to częścią tego małego południowego królestwa, które z upływem wieków zwać będą Turcją. Jak wypalone spiekotą góry i nieokrzesani poddani, jak koczujące plemiona, sokoły i niedźwiedzie. Mimo wszystko nie sprawia mi żadnej przykrości myśl, iż w miarę upływu czasu zmiatającego z oblicza ziemi wszystko, co w tej chwili istnieje i co mnie otacza, w pamięci przyszłych pokoleń, na wodach unoszących szczątki historii Lidii, przetrwa jedynie krągły, słoneczny, hojny, niczym nadchodząca wiosna, zad Lukrecji, królowej, małżonki mej.

3

Środowe uszy

„Są jak muszle, które w labiryncie z masy perłowej przetrzymują schwytaną muzykę morza”, puścił wodze fantazji don Rigoberto. Uszy miał duże i kształtne; oba, a szczególnie lewe, przejawiały przy tym skłonność, w swych górnych partiach, do odstawiania od głowy i skręcały się do wewnątrz, skore do przechwytywania, wyłącznie dla siebie, wszystkich dźwięków świata. Choć w dzieciństwie wstydził się ich rozmiarów i kłapciastej postaci, przywykł wreszcie do nich. Teraz zaś, gdy poświęcał jeden wieczór w tygodniu wyłącznie ich pielęgnacji, nawet czuł się z nich dumny. Zdołał bowiem, wskutek uporu i wciąż ponawianych prób, doprowadzić ponadto do tego, by owe nieszczęsne wyrostki uczestniczyły, wspólnie z żywością ust i biegłością dotyku, w jego miłosnych nocach. Lukrecja również je lubiła, hojnie obdarzając je, w najintymniejszych chwilach, miłymi pochlebstwami. W przerwach małżeńskich zmagani zazwyczaj mawiała o nich: „Moje dumbiątka”.

„Kwiatów kielichy, skrzydełka czule, audytoria przeznaczone muzyce i dialogom”, zadumał się poetycko don Rigoberto. Skrupulatnie badał przez lupę chrząstkowate brzegi swego lewego ucha. Tak jest, włoski wytrzebione w zeszłą środę już wysuwały swe główki. Wystawały trzy, asymetrycznie, niczym punkty, w których przecinają się boki trójkąta równoramienne. Wyobraził sobie ów ciemny puszek, w jaki się przeistoczą, jeśli pozwoli im rosnać dalej, jeśli ich nie wytępi, i opanowało go przelotne uczucie obrzydzenia. Błyskawicznie, ze sprawnością wynikłą z wytrwałej praktyki, chwycił owe włoskowate łebki w szpony pesety i wyrwał je, jeden po drugim. Szarpnięcie wraz z łaskotaniem, które towarzyszyło wyrwaniu, przyprawiło go o rozkoszny dreszcz. Wyobraził sobie nagle, że doña Lukrecja skulona przeczesuje swymi białymi, gładkimi zębami kędzierzawe włoski jego podbrzusza. Owo wyobrażenie sprawiło, że poczuł lekki wzwód. Natychmiast go powstrzymał, wyobraziwszy sobie owłosioną kobietę o uszach zarośniętych kępami gładkich włosów i pokrytych gęstym meszkiem, w mrokach którego niewątpliwie gromadziły się drżące krople potu. Przypomniawszy sobie wówczas, jak jeden z jego kolegów po fachu, choć z innego towarzystwa ubezpieczeniowego, opowiadał onegdaj, wróciwszy z urlopu na Karaibach, że niekwestionowaną królową jednego z burdeli na Santo Domingo była rosła Mulatka, której pomiędzy piersi dumnie wyrastał nieoczekiwany pióropusz. Usiłował wyobrazić sobie Lukrecję z takowym piętrem – jedwabistą grzywą! – pośród jej piersi barwy kości słoniowej i

ogarnęło go przerażenie. „Ulegam zbyt wielkiej ilości uprzedzeń w materii miłosnej”, wyznał w duchu. Ale na razie nie zamierzał zrezygnować z żadnego z nich. Włosy, proszę bardzo, są bezcenną ozdobą erotyczną, pod warunkiem wszakże, iż znajdują się na sobie właściwym miejscu. Na głowie i na wzgórku Wenery mile widziane i nieodzowne; pod pachami czasem do zniesienia, choćby po to, by wszystkiego doświadczyć i spróbować (zdaje się, że to europejska obsesja), ale na rękach i nogach zdecydowanie nie, między piersiami zaś przenigdy!

Powrócił do wnikliwych oględzin lewego ucha, pomagając sobie wypukłymi lusterkami używanymi przy goleniu. Nie, w żadnym z zakątków, wybrzuszeń, skrętów małżowiny nie wzeszły kolejne włoski, poza owymi trzema muskietierami, których pojawienie się pewnego dnia, przed paroma laty, było dlań całkowitym zaskoczeniem.

„Dzisiejszej nocy będę wyłącznie słuchać miłości”, postanowił. To było możliwe, zdołał się już kilkakrotnie doprowadzić do takiego stanu, a i Lukrecję to bawiło, przynajmniej jako wprowadzenie do gry miłosnej. „Pozwól mi posłuchać twoich piersi”, szepnie, i zestrajając miłośnie wpierw jeden, następnie drugi sutek małżonki z hiperczułą jaskinią swych uszu – przylegały do siebie niczym stopa do trzewika – będzie się w nie wsłuchiwać z przymkniętymi oczami, w zachwycie i uniesieniu, w skupieniu równym chwili podniesienia hostii, póki nie usłyszy, jak ku ziemistej szorstkości każdego z paków nie wznoszą się z najniższych cielesnych głębin konkretne, acz stłumione rytmy, już to oddech rozwierających się porów, już to wrzenie jej krwi wstrząsanej podnieceniem.

Kontynuował usuwanie kapilarnych odrośli prawego ucha. Dostrzegł nagle intruza: samotny włosik chwiał się bezwstydnie w samym środku skręcającego się płatka. Wyrwał go lekkim szarpnięciem i zanim go wrzucił do umywalki, pod nurt płynącej z kranu wody, przyjrzał mu się z obrzydzeniem. Czy w najbliższych latach na jego olbrzymich uszach pojawiać się będą kolejne włosy? On w każdym razie nigdy się nie podda; nawet na łożu śmierci, jeśli mu tylko sił starczy, nie przestanie ich niszczyć (czy raczej obcinać?). A przecież i tak później, kiedy jego ciało spoczywać będzie bez życia, nieproszeni goście będą mogli pojawiać się swobodnie, wyrastać, szpecić jego zwłoki. Ten sam los czeka jego paznokcie. Don Rigoberto przyznał, iż ta deprymująca perspektywa stanowi nieodparty argument na rzecz kremacji. Otóż to, ogień uniemożliwiłby pośmiertną niedoskonałość.

Płomienie przeniosłyby w nicość jego ciało znajdujące się jeszcze w stanie doskonałości, na przekór robactwu. Stwierdzenie to przyniosło mu ulgę.

Okręcając waciki na szpilce do włosów i zanurzając je w wodzie z mydłem, by zebrać nimi nagromadzoną wewnątrz uszu woskowinę, wybiegł wprzód myślami wyobrażając sobie, co też owe nieskazitelnej czystości lejki usłyszą niebawem, zsuwając się z piersi ku pępkowi żony. W owym miejscu nie będą już musiały czynić nader wielkiego wysiłku, aby przechwycić znienacka tajemną muzykę Lukrecji, prawdziwa bowiem symfonia dźwięków, płynnych, solidnych, długotrwałych i chwilowych, niejasnych i wyraźnych, pocznie ujawniać mu najgłębsze tajniki jej życia. Nie krył radości na samą myśl, jak wielkie wzruszenie by go ogarnęło, gdyby zdołał poprzez owe narządy, w których obecnie skrupulatnie z całym oddaniem i niespiesznie grzebał, uwalniając je od tłustej odkładającej się w nich co jakiś czas wydzieliny, usłyszeć i rozpoznać najmniejszy choćby sekret istnienia jej ciała: gruczoły, mięśnie, naczynia krwionośne, pęcherzyki, błony, tkanki, włókna, przewody, kanaliki, ową przebogata i subtelną orografię biologiczną spoczywającą pod gładką skórą brzucha Lukrecji. „Kocham wszystko, co w niej i poza nią – pomyślał. – Bo wszystko w niej jest lub może być erogenne”.

Choć zaślepiony czułością, jaka zawsze w nim wzbierała, gdy pojawiała się w jego rojeniach, to jednak nie przesadzał. Nie, skądże znowu. Dzięki swemu niezłomnemu uporowi zdołał bowiem zakochać się zarówno w niej całej, jak i w każdej części jej ciała, potrafił kochać z osobna i łącznie wszystkie elementy składające się na ów komórkowy wszechświat. Wiedział, że gotów jest zareagować erotycznie, szybkim i mocnym wzwodem, na podniecie jakiegokolwiek z jej niezliczonych cząstek, nie wyłączając najdrobniejszej, nie wyłączając – dla człowieka pospolitego – najbardziej niepojętej i odrażającej. „Tu spoczywa don Rigoberto, który zdołał pokochać z równą mocą nadbrzusze swej małżonki, jak i jej srom i język”. Filozoficznie uznał, iż byłoby to najwłaściwsze epitafium na jego marmurowym nagrobku. Byłabyż kłamstwem owa nagrobna maksyma? W najmniejszym stopniu. Pomyślał o tym, że niebawem zacznie budzić się w nim zachwyt nad przygłuszonym płynnym falowaniem przechwyconym przez jego uszy, z chwilą gdy łapczywie wtulą się w miękki brzuch Lukrecji, i już zdawało mu się, iż słyszy figlarne burczenie wzdęcia, radosny wystrzał pierdziątka, gulgot i pochwowe ziewnięcie czy też ledwie wyczuwalne węzowe przeciąganie się jelit. I już słyszał siebie samego, gdy zaślepiony miłością i wyuzdaniem szepce jej słowa, którymi zazwyczaj oddawał hołd swej małżonce pieszcząc ją

zarazem. „Wszystkie te odgłosy to również ty, Lukrecjo; one są twoim koncertem, twą dźwiękową osobą”. Był przekonany, że może je natychmiast rozpoznać, odróżnić od dźwięków wydawanych przez brzuchy innych kobiet. Była to hipoteza, której nie będzie miał okazji sprawdzić, nigdy bowiem nie spróbuje nawet doświadczyć owego nasłuchiwania miłości z inną. Po cóż miałby to czynić? Czyż Lukrecja nie jest bezdennym oceanem, którego on, nurek miłosny, nigdy nie zdoła poznać dogłębnie? „Kocham cię”, szepnął, ponownie czując przedświt wzrodu. Osadził go w miejscu potężnym szcztukiem, po którym nie tylko złożył się wpół, ale i zaniósł jednocześnie śmiechem. „Kto sam się śmieje, ten występki swe rozpamiętuje!” – usłyszał dobiegające go z sypialni strofowanie żony. Gdybyż Lukrecja wiedziała, z czego właśnie się zaśmiewał.

Dźwięk jej głosu, potwierdzenie jej bliskości i jej istnienia wypełniło go radością. „Szczęście istnieje”, powtórzył, jak zwykle każdej nocy. Owszem, ale pod warunkiem, iż szuka się go tam, gdzie jest ono możliwe. We własnym ciele i w ciele ukochanej, na przykład; gdy jest się samemu w łazience; godzinami i przez kilka minut, i w łóżku dzielonym z tak pożądaną istotą. Bo szczęście jest chwilowe, indywidualne, wyjątkowo doznawać go można we dwoje, nader rzadko w troje, nigdy zaś zbiorowo, w masie. Jest ono, jak perła w swej muszli, ukryte w niektórych rytuałach lub ceremonialnych zabiegach, dostarczających istocie ludzkiej pewnych przeblysków i miraży doskonałości. Należy zadowalać się tymi okruchami, by uniknąć życia w trwodze, w rozpacz, wyciągając ręce ku niemożliwemu. „Szczęście ukrywa się w zakamarkach mych uszu”, pomyślał nader zgrabnie.

Zakończył czyszczenie przewodów obu uszu i teraz trzymał przed oczyma wilgotne waciki przesiąknięte wydobytą przed chwilą żółtawą, tłustą wydzieliną. Należało jedynie przetrzeć uszy, aby krople wody, wyschnąwszy, nie skrzystalizowały w nich cząsteczek brudu. Ponownie okręcił waciki na szpilce i począł przecierać uszy tak delikatnie, iż zdawało się, że je masuje lub pieści. Następnie wyrzucił waciki do muszli i pociągnął za łańcuszek. Oczyszczył szpilkę i złożył w należącej do jego małżonki szkatułce z drzewa sandałowego.

Przyjrzał się w lustrze swoim uszom dokonując ostatnich oględzin. Poczł się usatysfakcjonowany i ożywiony. Oto miał przed sobą owe chrząstkowe stożki, wyczyszczone wewnątrz i na zewnątrz, gotowe nachylić się i z szacunkiem i z całą rozwiązłością wysłuchać ciała ukochanej kobiety.

4

Oczy jak świetliki

„Skończyć czterdzieści lat to nic strasznego”, pomyślała doña Lukrecja przeciągając się w mrocznym pokoju. Czuła się młoda, piękna i bogata. To znaczy, że szczęście istnieje? Rigoberto mawiał, że tak, „chwilami i wyłącznie dla nas obojga”. Czy nie było to puste słowo, stan osiągnąć wyłącznie przez głupców? Mąż kocha ją, udowadniał jej to codziennie tysiącem subtelnych drobiazgów i niemal każdej nocy domagał się jej łask z młodzieńczym żarem. A i on wydawał się młodnieć od dnia, kiedy cztery miesiące temu postanowili się pobrać. Obawy, które przez tak długi czas powstrzymywały ją od podjęcia tej decyzji – jej pierwsze małżeństwo okazało się katastrofą, rozwód zaś koszmarną agonią przedłużaną przez chciwych kauzyperdów – rozwiały się bez śladu. Już od samego początku pewną ręką przejęła rządy w swym nowym domu. Pierwszą rzeczą, jaką uczyniła, była zmiana wystroju we wszystkich pokojach, tak aby nic nie przypominało zmarłej żony Rigoberta, teraz zaś królowała z taką swobodą, jakby zawsze była panią tego domu. Jedyne poprzednia kucharka okazała jej pewną wrogość, musiała więc ją zmienić. Reszta służby przyjęła ją wspaniale. Szczególnie Justyniana, która wyniesiona przez doñę Lukrecję do rangi pokojówki okazała się objawieniem: sprawna, inteligentna, czysta i całkowicie oddana swej pani.

Największym jednak sukcesem stały się jej kontakty z dzieckiem. Przedtem było to jej największą troską, czymś, co wydawało jej się przeszkodą nie do pokonania. „To pasierb, Lukrecjo”, powtarzała sobie, kiedy Rigoberto obstawał przy tym, by dali już spokój z ukrywaniem swego związku i wreszcie się pobrali. „To nigdy się nie uda. Ten dzieciak będzie cię zawsze nienawidził, uprzykrzy ci życie i wcześniej czy później również i ty zaczniesz go nienawidzić. Słyszałaś o szczęśliwej parze, która ma dzieci z innego małżeństwa?”

Żadna z tych obaw się nie potwierdziła. Alfonsito uwielbiał ją. Tak, jest to najwłaściwsze słowo. Być może nawet zanadto. Doña Lukrecja ponownie się przeciągnęła w ciepłej pościeli niczym leniwy wąż. Czyż nie zdobył pierwszego miejsca w klasie wyłącznie dla niej? Przypomniała sobie jego zarumienioną twarzyczkę, triumf w jego oczach koloru nieba, kiedy podał jej zeszyt z ocenami.

- To jest twój prezent urodzinowy, macocho. Mogę cię pocałować?
- Ależ oczywiście, Fonsito. Nawet dziesięć razy.

Domagał się pocałunków i sam ją całował przez cały czas, z uniesieniem, które czasami wzbudzało w niej wątpliwości. Czy rzeczywiście ten dzieciak tak bardzo ją kocha? Tak, w pełni sobie na to zasłużyła spełniając każdą jego zachciankę, znosząc mu wszelkie możliwe prezenty, od dnia kiedy po raz pierwszy przekroczyła próg tego domu. A może, jak fantazjował Rigoberto, rozpalając własne pożądanie podczas nocnych zmagañ, Alfonsito budzi się do życia seksualnego, okoliczności zaś sprawiły, iż jej przypadła rola inspiratorki? „Bzdura, Rigoberto. Przecież jest taki maleñki, niedawno dopiero przystępował do pierwszej komunii. Co za głupstwa się ciebie trzymają”.

I choć nigdy nie przyznałaby się głośno do podobnych myśli, tym bardziej w obecności męża, to przecież w samotności, jak teraz, doña Lukrecja często zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście dziecko nie zaczyna odkrywać, czym jest pożądanie i rodząca się poezja ciała, w jej osobie poszukując bodźców. Zachowanie Alfonsita intrygowało ją, wydawało się tak niewinne i tak dwuznaczne zarazem. Przypomniała sobie wówczas – a było to zdarzenie z jej lat dziewczęcych, którego nie była w stanie zapomnieć – jak ujrzała przypadkowy rysunek kreślony przez drobne łapki mewy na piasku Klubu Regatowego; podeszła, żeby mu się przyjrzeć, oczekując jakiejś formy abstrakcyjnej, labiryntu linii prostych i krzywych, a to, co ujrzała, zrobiło na niej raczej wrażenie gruzłowatego fallusa! Czy Fonsio jest świadom, iż zarzucając jej tak a nie inaczej ramiona na szyję, całując ją długo i przewlekle, poszukując jej ust, przekracza granice przyzwoitości? Któż to może wiedzieć? Dzieciak miał spojrzenie tak szczere, tak słodkie, że doñi Lukrecji wydawało się rzeczą absolutnie niemożliwą, aby w tej główce rumianego cherubinka, który grał pastuszka w szkolnych szopkach, mogły powstać jakiegokolwiek brudne i nieprzyzwoite myśli.

„Brudne myśli – wyszeptała w poduszkę – nieprzyzwoite. Cha! Cha! Cha!”. Była w świetnym humorze, a rozkoszne ciepłko przepływało przez jej żyły, jakby krew przemieniała się w letnie wino. Skądże, Fonsito nie był nawet w stanie przypuszczać, że to wszystko jest zabawą z ogniem, jego serdeczna wylewność bierze się bez wątpienia z podszeptów ciemnych instynktów, z nieświadomego tropizmu. Ale, mimo wszystko, cała ta zabawa nie przestaje być zabawą niebezpieczną, prawda, Lukrecjo? Bo kiedy spoglądała na to maleñstwo klęczące na podłodze, wpatrzona w nią, tak jakby macocha właśnie spłynęła z Raju, albo kiedy jego rączyny i jego kruche ciałko wtulało się w jej ciało, a małe usteczka dotykały jej policzków i

muskały jej wargi – nigdy nie dopuściła, by spoczęły tam dłużej niż sekundę – doña Lukrecja nie mogła powstrzymać lekkiego podniecenia, przez chwilę ulegając nastrojowi pożądania. „To ty, Lukrecjo, ulegasz brudnym, nieprzyzwoitym myślom”, szepnęła z zamkniętymi oczami i przywierając całym ciałem do materaca. Czyżby miała pewnego dnia stać się rozpustną staruchą, jak niektóre jej przyjaciółki od brydża? Czyż tak wygląda demon południa? Uspokój się, pamiętaj, że przez dwa dni będziesz słomianą wdową – Rigoberto, w podróży służbowej związanej z ubezpieczeniami, wróci dopiero w niedzielę – a poza tym dość już tego wylegiwania się w łóżku. Wstawać, leniuchu! Z niejakim wysiłkiem starając się otrząsnąć z senności, wzięła słuchawkę i poleciła służącej przynieść śniadanie.

Justyniana po pięciu minutach weszła do pokoju, niosąc tacę, korespondencję i prasę. Rozsunęła zasłony, i wilgotne, smutne i szarawe światło limańskiego września zalało sypialnię. „Jaka brzydka jest zima”, pomyślała doña Lukrecja. I westchnęła do letniego słońca, do palących piasków plaż Paracas i słonych pieszczot morza na swej skórze. To jeszcze tyle czasu! Justyniana postawiła jej tacę na kolanach i poprawiła poduszki, by mogła wygodnie się oprzeć. Była to wysoka szatynka o kędzierzawych włosach, figlarnych oczach i dźwięcznym głose.

– Sama nie wiem, czy mam to pani powiedzieć, czy nie – wymamrotała, z tragikomiczną miną, podając jej szlafrok i stawiając ranne pantofle u stóp łóżka.

– Teraz już musisz powiedzieć, bo narobiłaś mi apetytu – odrzekła doña Lukrecja, chrupiąc tost i popijając herbatę.

– Co się stało?

– Wstydzę się powiedzieć, proszę pani.

Doña Lukrecja przyjrzała się jej rozbawiona. Była to młoda dziewczyna, jej ciało pod niebieskim fartuszkim pokojówki było jędrne i świeże. Jaki wyraz twarzy przybiera, kiedy kocha się z mężem? Był nim portier z restauracji, wysoki, krzepki jak atleta Murzyn, który codziennie rano odprowadzał ją tutaj. Doña Lukrecja poradziła jej, by nie komplikowała sobie życia rodzeniem dzieci, póki jest jeszcze młoda, i osobiście zaprowadziła ją do swego lekarza, by przepisał jej najodpowiedniejszą pigułkę.

– Znowu jakaś kłótnia między kucharką a Saturninem?

– To raczej dotyczy panicza Alfonsa – Justyniana zniżyła głos, jakby malec, gdzieś tam daleko, w szkole, mógł ją usłyszeć; udawała bardziej zakłopotaną, niż była w rzeczywistości. – No, bo wczoraj w nocy przyłapałam go... Ale niech mu pani tego nie mówi, błagam panią. Jak Fonsito się dowie, że wszystko pani powiedziałam, to mnie zabije.

Donę Lukrecję bawiły te ceregiele i teatralne gesty Justyniany.

– Gdzie go przyłapałaś? I na czym?

– Jak panią podglądał, proszę pani.

Instynkt ostrzegł donę Lukrecję, wiedziała, co usłyszy, i zaczęła mieć się na baczności. Justyniana wskazywała na sufit łazienki i teraz naprawdę wyglądała na zakłopotaną.

– Mógł spaść do ogrodu i nawet się zabić – westchnęła wywracając białkami oczu. – Dlatego o tym pani mówię, proszę pani. Kiedy go skarciłam, powiedział mi, że nie robi tego po raz pierwszy. Że już wiele razy włąził na dach. Żeby podglądać panią.

– Że co?

– To, co słyszysz – odpowiedział dzieciak wyzywająco, bohatercko niemal. – I będę tak robił dalej, nawet gdybym miał się poślizgnąć i się zabić, żebyś wiedziała.

– Oszalałeś chyba, Fonsito. Tego się nie robi, to jest bardzo, ale to bardzo niegrzeczne. Co by powiedział don Rigoberto, gdyby się dowiedział, że podglądasz swoją macochę podczas kąpieli. Pogniewałby się i sprawiłby ci lanie. A poza tym możesz się zabić, zobacz jak to wysoko.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparł malec, z błyskiem stanowczości w oczach. Natychmiast jednak spotulniał i wzruszając ramionami, dodał pokornie. – Nawet gdyby tata miał mnie zbić, Justysiu. Poskarżysz na mnie?

– Nic mu nie powiem, ale pod warunkiem, że już nigdy tam nie wejdiesz.

– Nie mogę ci tego przyrzec, Justysiu – wykrzyknął szczerze zasmucony dzieciak. – Nigdy nie obiecuję czegoś, czego nie mogę spełnić.

– Czy to wszystko nie jest zwykłym wymysłem twej tropikalnej wyobraźni? – wybąkała doña Lukrecja. Powinna się zaśmiać czy gniewać?

– Bardzo długo się zastanawiałam, czy w ogóle mam to pani powiedzieć. Bo Fonsito jest taki dobry, a ja go tak kocham. Ale jak on tam wchodzi, to przecież może się zabić, naprawdę.

Doña Lukrecja nadaremnie usiłowała go sobie wyobrazić tam, na dachu, przycupniętego jak zwierzątko i podglądającego ją.

– Nie może być, to niemożliwe, nie mogę w to uwierzyć. Przecież to takie grzeczne dziecko, tak dobrze wychowane. W głowie mi się to nie mieści.

– Bo Fonsito się w pani zakochał, proszę pani – westchnęła dziewczyna, zakrywając sobie usta i uśmiechając się. – Naprawdę pani tego nie zauważyła? Aż mi się wierzyć nie chce.

– Justyniano, co za bzdury wygadujesz.

– A bo to dla miłości liczą się lata, proszę pani? Niektórzy zakochują się już w wieku Fonsita. A jeśli jeszcze wziąć pod uwagę, że on jest taki bystry we wszystkim. Gdyby pani wiedziała, co on mi powiedział, to by panią zatkało ze zdziwienia. Tak jak mnie zatkało, mówię pani.

– E tam, cóż ty znowu zmyślasz?

– To, co słyszysz, Justysiu. Kiedy zdejmuję szlafrok i wchodzi do wanny pełnej piany, to nawet nie mogę ci powiedzieć, co czuję. Jest taka, taka śliczna... Zaraz mam łzy w oczach, tak samo jak wtedy, kiedy przystępuję do komunii. To tak jakbym film oglądał, naprawdę. To jest coś takiego, czego ci nawet nie potrafię wytłumaczyć. Chyba dlatego płaczę, nie?

Doña Lukrecja zdecydowała się jednak na wybuch śmiechu. Służąca nabrała śmiałości i również uśmiechnęła się, przybierając konfidencjonalny wyraz twarzy.

– Wierzę tylko w jedną dziesiątą tego, co mi opowiadasz – powiedziała wreszcie doña Lukrecja, wstając. – Ale niezależnie od tego, z tym dzieckiem i tak trzeba coś zrobić. Należy zaprzestać tych zabaw natychmiast, im szybciej, tym lepiej.

– Proszę tylko nic nie mówić panu – zaczęła błagać Justyniana, przełęczniona. – Bardzo by się rozgniewał i może by go nawet zbił. Fonsito nawet nie wie, że źle robi. Słowo honoru, że nie wie. On jest jak aniołek, nie odróżnia dobra od zła.

– Nie ulega wątpliwości, że nie mogę nic powiedzieć Rigobertowi, to jasne – przytaknęła doña Lukrecja, jakby głośno myśląc. – Tyle że należy tym głupim wybrykom położyć kres. Nie wiem jak, ale natychmiast.

Była przestraszona, skrępowana, zła na dzieciaka, na służącą i na siebie samą. Co ma począć? Porozmawiać z Fonsitem, nakrzyczeć na niego? Zagrozić, że powie wszystko Rigobertowi? Jak zareaguje? Poczucie się zraniony, zdradzony? Zamiast kochać, znienawidzi ją teraz?

Pieszczotliwymi ruchami namydliła swoje silne i duże piersi o sterczących sutkach i jeszcze smukłą kibić, z której wylaniały się, niczym dwie połówki owocu, szerokie krzywizny bioder, natarła uda, pośladki, zdepilowane pachy i smukłą, wysoką, delikatną szyję ozdobioną pojedynczym pieprzykiem. „Nigdy się nie zestarzeję – zaniósła się modlitwą jak każdego ranka przy kąpeli. – Choćbym miała zaprzedać duszę lub cokolwiek innego. Nie będę nigdy brzydka ani nieszczęśliwa. Umrę piękna i szczęśliwa”. Don Rigoberto przekonał ją, że wypowiadając, powtarzając, wierząc w te słowa, sprawi w końcu, że jej pragnienie się spełni. „Magia sympatyczna, kochanie”. Lukrecja uśmiechnęła się: jej mąż jest może nieco ekscentryczny, ale, co tu ukrywać, przy takim mężczyźnie trudno kobiecie się nudzić.

Przez resztę dnia, wydając polecenia służbie, robiąc sprawunki, odwiedzając przyjaciółkę, jedząc obiad, wydzwanając i przyjmując telefony, zadawała sobie pytanie, co zrobić z dzieciakiem. Jeśli doniesie o wszystkim Rigobertowi, stanie się wrogiem pasierba, a wtedy odwieczna zapowiedź domowego piekła urzeczywistni się. Być może najsensowniej będzie zapomnieć o rewelacjach Justyniany i przyjmując wszystko z dużą dozą cierpliwości, stopniowo wykorzeniać owe wymysły, które dziecko, bez wątpienia i jedynie po części uświadamiając sobie ich rzeczywisty sens, łączy z jej osobą. Tak, to będzie najrozsądniejsze: przemilczeć i pomału, ostrożnie, puścić w zapomnienie.

Tego wieczoru, kiedy Alfonsito po powrocie ze szkoły podszedł do niej, żeby ją pocałować, z miejsca odsunęła policzek i pograżyła się w lekturze przeglądanej przez siebie pisma, nie pytając, jak poszło mu w szkole i czy ma lekcje do odrobienia na jutro. Kątem oka zobaczyła, że posmutniał, był bliski płaczu. Ale nie zareagowała, tego wieczoru zaś w ogóle nie zeszła, by towarzyszyć mu przy wieczornym posiłku (rzadko jadła kolację). Nieco później zadzwonił Rigoberto, z Trujillo. Wszystko, co miał do załatwienia poszło mu znakomicie i bardzo za nią tęsknił. A tej nocy, w swym ponurym

pokoiku Hotelu Turystycznego, będzie tęsknił jeszcze bardziej. Coś nowego w domu? Nie, nic, wszystko w porządku. Dbaj o siebie, kochanie. Doña Lukrecja sama w pokoju chwilę słuchała muzyki, a kiedy malec przyszedł życzyć jej dobrej nocy, odpowiedziała mu chłodno. Następnie poleciła Justynianie, żeby przygotowała jej kąpiel z pianą, jak zawsze wieczorem, przed pójściem do łóżka.

Podczas gdy dziewczyna nalewała wody do wanny, a ona rozbierała się, towarzyszący jej w ciągu dnia niesmak wrócił i dręczył ją coraz bardziej. Czy dobrze zrobiła traktując w ten sposób Fonsita? Wbrew temu, co sobie postanowiła, jego rozgoryczona, zaniepokojona twarzyczka sprawiała jej ból. Ale czyż nie był to jedyny możliwy sposób, żeby skończyć z tą dziecinadą, która mogła przybrać niebezpieczny obrót?

Leżała zanurzona w wannie po szyję, wpół śpiąca, od czasu do czasu rozbryzgując pianę dłonią lub stopą, kiedy Justyniana zapukała do drzwi: czy można wejść, proszę pani? Zobaczyła jak przybliżyła się z ręcznikiem w jednej ręce, a z szlafrokiem w drugiej. Na jej twarzy widoczny był strach. Lukrecja z góry wiedziała, co dziewczyna jej szepnie: „Proszę pani, Fonsito jest tam na górze”. Przytaknęła i władcym gestem nakazała Justynianie opuścić łazienkę.

Przez dłuższy czas leżała nieruchomo w wodzie, usiłując nie patrzeć na sufit. Czy powinna to zrobić? Wycelować w niego palcem? Krzyknąć, nawrzeszczeć na niego? Wyobraziła sobie popłoch za kopułą z ciemnego szkła znajdującą się nad jej głową; w oczach jej stanęła drobna, przycupnięta, przerażona i zawstydzona postać. Usłyszała rozdzierający krzyk, ujrzała paniczną ucieczkę. Na pewno się poślizgnie i spadnie jak pocisk z dachu do ogrodu. Do jej uszu dotrze suchy łomot rozbijającego się o balustradę, strzaskanego ciała: spadnie na żywopłot, oplącze je złowroga sieć gałęzi. „Powstrzymaj się, za wszelką cenę się powstrzymaj – rozkazała sobie w duchu zaciskając zęby. – Musisz uniknąć skandalu. A przede wszystkim, wystrzegaj się jakiegokolwiek odruchu, który mógłby zakończyć się tragedią”.

Cała, od stóp po czubki włosów, dygotała z wściekłości, szczękała zębami jak na mrozie. Nagle wstała. Nie zasłaniając się ręcznikiem, ani nie kuląc w taki sposób, aby owe niewidzialne oczy mogły ujrzeć jedynie niepełny i przelotny obraz jej ciała. Wprost przeciwnie. Wyprostowała się odchylona przesadnie do tyłu, a przed wyjściem z wanny przeciągnęła się, ukazując swe ciało w całej okazałości i bezwstydzie; zdjęła czepek kąpielowy i potrząsała włosami. A kiedy już wyszła, to zamiast zaraz okryć się

szlafrokiem, stała przez chwilę nieruchomo, naga, lśniaca od kropelek wody, wyprężona, zuchwała i gniewna. Wytarła się powoli, centymetr po centymetrze, stając bokiem, schylając się, coraz to nieruchomiejąc, jakby pochłonięta znienacka jakąś myślą, w pozie nieprzyzwoicie niedbałej lub też uważnie przeglądając się w lustrze. I z tą samą obłądną powolnością przystąpiła do nacierania się kremami nawilżającymi. A w trakcie odgrywania owego spektaklu przed niewidocznym widzem, coraz większa złość wzbierała w jej sercu. Co ty wyprawiasz, Lukrecjo? Lukrecjo, na co ci te wygibasy? Nie zaprzestała jednak, nadal wystawiając na pokaz swą nagość w sposób, w jaki nigdy przed nikim tego nie czyniła, nawet przed don Rigobertem, przechadzając się nago z jednego krańca łazienki w drugi, szcztokując włosy, myjąc zęby, rozpylając na swym ciele wodę kolońską. Improwizując całą tę scenę odnosiła wrażenie, że to, co właśnie czyni, jest poniekąd wyrafinowaną formą kary dla młodocianego rozpustnika przycupniętego tam, w nocnych mrokach na dachu: oto ujawnia przed nim widoki, których intymność raz na zawsze zetrze w proch jego niewinność, będącą parawanem dla jego zuchwałych wybryków.

Kiedy znalazła się w łóżku, wciąż jeszcze drżała. Długo nie mogła zasnąć, brak jej było don Rigoberta. Czuła niesmak po tym, co zrobiła, nienawidziła dzieciaka ze wszystkich sił i postanowiła nie zastanawiać się nad tym, co oznaczają owe fale żaru, które raz po raz przyprawiały o dreszcz jej piersi. Co się z tobą dzieje, kobieto? Nie poznawała samej siebie. Syndrom czterdziestki? A może efekt nocnych szaleństw i ekstrawagancji męża? Skądże, wszystko przez Alfonsita. „Ten dzieciak mnie deprawuje”, pomyślała zbita z tropu.

Gdy wreszcie udało jej się zasnąć, miała nasycony zmysłowością sen: ożyła w nim jedna z owych rycin pochodzących z sekretnej kolekcji don Rigoberta, którą oboje zwykli nocami przeglądać i komentować poszukując natchnienia dla swej miłości.

5

Diana po kąpieli



François Boucher - *Diana po kąpieli* (1742), olej na płótnie, Paryż, Luwr

Ta z lewej to ja, Diana Lukrecja. Otóż to, ja, bogini dębu i lasów, bogini płodności i porodów, bogini łowów. Grecy zwaą mnie Artemidą. Jestem spokrewniona z Luną, Apollo zaś jest moim bratem. Pośród gminu i kobiet mam swoich najzagorzalszych wyznawców. Świątynie wzniesione na moja cześć rozrzucone są po wszystkich puszczech Imperium. Ta na prawo ode mnie, pochylona, przyglądająca się mojej stopie, to Justyniana, moja faworyta. Wykapałyśmy się właśnie i zaraz będziemy się kochać.

Zająca, kuropatwy i bażanty upolowałam dziś o świcie, strzałami, które wyrwane ze zdobyczy i wyczyszczone przez Justynianę znalazły się z powrotem w kołczanie. Psy służą raczej ozdobie; wyruszając na łowy nader rzadko korzystam z ich umiejętności. W każdym razie nigdy do aportowania drobnej, jak dzisiejszego poranka, zwierzyny, ich szczęki miażdżą ją bowiem do tego stopnia, iż czynią ją bezużyteczną w przyrządzaniu. Tej nocy spożyjemy ową dziczyznę o soczystym i delikatnym mięsie, przyprawiając ją egzotycznymi korzeniami i pijąc kapuańskie wino dopóty, dopóki nie osuniemy się wyczerpane. Potrafię się radować i używać rozkoszy. Jest to sztuka, w której nabywałam biegłości przez cały czas, z biegiem dziejów, i stwierdzić mogę, bez najmniejszej buty, iż w tym zakresie posiadam całą wiedzę. Chcę powiedzieć: sztukę spijania nektaru rozkoszy z wszystkich – choćby i zgniłych – owoców życia.

Głównej postaci brakuje na obrazie. Mówiąc dokładniej: nie widać jej. Kręci się gdzieś tam z tyłu, kryjąc się w krzewach, podglądając nas. Ze swymi pięknymi, szeroko otwartymi oczami barwy południowych brzasków, ze swym krągłym, przyobleczone w rumieniec pożądania obliczem, przykucnął tam na pewno, adorując mnie w uniesieniu. Ze swymi jasnymi, wplątanymi w gałęzie loczkami, ze swym maleńkim, bladawym członkiem wznoszącym się niczym pęd winny, pijąc nas i pożerając oczami z całą mocą swej chłopięcej wyobraźni, jest tam na pewno. Świadomość tego raduje nas i dopełnia przewrotnością nasze igraszki. Nie jest ani bogiem, ani duszkiem, lecz przynależy do rodzaju ludzkiego. Strzeże kóz i gra na piszczalce. Zowią go Foncin.

Justyniana wypatrzyła go w Idy sierpniowe, gdym w lesie szła tropem jelenia. Pastuszek szedł moim śladem, otumaniony, potykając się, ani na chwilę nie odrywając ode mnie oczu. Moja faworyta powiada, iż ujrzawszy jak stanęłam na palcach – z promieniem słońca rozpalającym moje włosy i

rozświetlającym furia żrenice, z wszystkimi mięśniami ciała napiętymi przed wypuszczeniem strzały – malec wybuchnął płaczem. Podeszła doń pragnąc go uspokoić i wówczas spostrzegła, że dzieciak płacze ze szczęścia.

„Nie wiem, co mi jest – wyznał jej, zalany łzami – ale zawsze gdy pani pojawia się w lesie, liście wszystkich drzew stają się świetlikami, a wszystkie kwiaty zaczynają śpiewać. Gorejący duch wnika we mnie i rozpala moją krew. Widzę ją i jest tak, jakbym leżąc na ziemi stawał się ptakiem i zaczynał latać”.

„Kształty twego ciała przedwcześnie, zważywszy jego wiek, natchnęły go językiem miłości – zawyrokowała filozoficznie Justyniana opowiedziawszy mi zdarzenie. – Twoja uroda urzeka go jak grzechotnik kolibra. Ulituj się nad nim, Diano Lukrecjo. Czemuż nie miałybyśmy pobawić się z pastuszkiem? Wszak igrając z nim, i my również się zabawimy”.

I tak się stało. Justyniana, obdarzona jako i ja, a może i bardziej niżli ja, wrodzonym instynktem w zażywaniu uciech, nigdy się nie myli w tym wszystkim, co niesie ze sobą rozkosz. To właśnie najbardziej w niej lubię, bardziej aniżeli jej bujne biodra czy jedwabiste i tak łaskotliwie wdzięczne dla podniebienia włosy na jej wzgórku: jej nagle pomysły i nieomylny instynkt w rozpoznawaniu, pośród gwaru tego świata, wszelkich źródeł uciechy i rozkoszy.

Od tamtej pory bawimy się z nim i choć upłynęło już sporo czasu, zabawa jest ciągle tak przyjemna, iż nas nie nuży. Każdy kolejny dzień cieszy nas bardziej od poprzedniego, przysparzając naszemu istnieniu nowych wrażeń i wspaniałego humoru.

Cielesne uroki męskiego bożka Foncina wzmaga dodatkowo duchowym czarem wstydlivości. Dwie lub trzy podjęte przeze mnie próby zbliżenia się doń, by z nim porozmawiać, okazały się daremne. Blednie i rzuca się jak dziki jelonek do ucieczki, niknąc wśród listowia jak za sprawą sztuk czarnoksiężskich. Justynianie szepnął, iż sama myśl i to, uchowaj, nawet nie dotknięcia mnie, ale przebywania w pobliżu mej osoby, tak blisko, że mogłabym spojrzeć mu w oczy i przemówić doń, przeraża go i unicestwia. „Tak cudna pani jest nietykalna – powiedział jej. – Wiem, że jeśli zanadto się do niej zbliżę, jej uroda spali mnie, tak jak motyla spala słońce Libii”.

Z tej to przyczyny nasze zabawy odbywają się po kryjomu. Za każdym razem jest to inna zabawa, na podobieństwo owych sztuczek teatralnych, kiedy to bogowie zstępują między ludzi, żeby cierpieć i zabijać się pospół, w

czym tak lubują się ci sentymentalni Grecy. Justyniana, udając, iż jemu, a nie mnie, bardziej sprzyja – po prawdzie ta spryciara sprzyja nam obojgu, a przede wszystkim samej sobie – prowadzi pastuszka między skały, tuż przy grocie, gdzie mam spędzić noc. I wówczas, przy świetle czerwonych języków ognia rozbiera mnie i namaszcza moje ciało miódem przyjaznych sycylijskich pszczoł. To lacedemoński sposób na zachowanie ciała gładkim i lśniącym, a poza tym – to podnieca. Podczas gdy ona pochyła się nade mną, naciera me członki, porusza nimi i wystawia tak, by nasycić ciekawość mego dziewiczego admiratora, ja przymykam oczy. Schodząc podziemnym korytarzem doznań i wibrując drobnymi spazmami rozkoszy, odgaduję zarazem Foncina. Więcej: widzę go, wącham, pieścę, przyciskam tak, iż znika we mnie, a przy tym nie odczuwam potrzeby dotykania go. Moją ekstazę zwiększa świadomość, iż w tym samym czasie, kiedy zażywam rozkoszy pod sprawnymi dłońmi mojej faworyty, on również jej doznaje, poddając się mojemu rytmowi, wespół ze mną. Jego niewinne ciało pokrywa się lśniącymi kropelkami potu, gdy na mnie patrzy i raduje się tym patrzeniem na mnie. Jest w tym czułość, która nasyci i koi moją rozkosz.

I tak, skryty przede mną przez Justynianę pośród leśnej gęstwiny, pastuszek kóz mógł widzieć, jak śpię i budzę się, ciskam włócznią i grotem, jak ubieram się i rozbieram. Mógł patrzeć, jak kucam na dwóch kamieniach i oddaję moją jasną urynę do przejrzystego potoku, nad którego dolnym biegiem pochylał się skwapliwie, by ugasić pragnienie. Widział, jak gęsiom odcinam łby, patroszę gołębie, aby ofiarować bogom ich krew i odczytać w ich trzewiach niewiadome losy przyszłości. Widział, jak pieścę sama siebie i sama siebie zaspokajam, jak pieścę i zaspokajam moją faworytę, i widział mnie i Justynianę, jak zanurzone w toni, spijamy, jedna z ust drugiej, krystaliczną wodę wodospadu, jak smakujemy naszą ślinę, nasze soki, nasz pot. Nie ma takiego ćwiczenia czy gry takiej, swawoli i cielesnego lub duchowego rytuału, jakich byśmy nie wykonały dla niego, uprzywilejowanego włodarza naszej intymności, zaszywającego się w swych, coraz to innych kryjówkach. Jest naszym trefnisiem; ale i zarazem naszym panem. Służy nam, my zaś jemu służymy. Nie dotknąwszy się nawet, nie wymieniwszy z sobą ani słowa, niezliczoną ilość razy zazналиśmy rozkoszy i bez najmniejszej przesady rzecz można, iż mimo nieprzebytej przepaści, dzielącej nasze tak odmienne natury, i wieku naszego – jesteśmy bardziej zespoleni niż najbardziej roznamiętniona para kochanków.

Teraz, w tej właśnie chwili, Justyniana i ja wystąpimy dla niego, a Foncín, po prostu przebywając tam, z tyłu, pomiędzy kamiennym murem a gęstwiną leśną, wystąpi również dla nas.

Niebawem ów wieczny bezruch ożywi się i stanie się czasem, historią. Ogary zaszczekają, las zaświergocze, woda rzeki popłynie intonując swój śpiew pośród żwiru i trzciny, kłębiaste chmury odpłyną zaś na wschód, niesione tym samym figlarnym wietrzykiem, który zmierzwi radosne loki mojej faworyty. Ona poruszy się, nachyli i jej czerwone usteczka pocałują moją stopę i ssać będzie każdy z palców, tak jak wysysa się limę i cytrynę w skwarne letnie wieczory. Rychło spleciemy się zbytując na szeleszczącym jedwabiu niebieskiego okrycia, ogarnięte upojeniem, z którego tryska życie. Wokół nas zaczyną węszyć ogary, okadzając nas oparami swych spragnionych pysków, być może nawet poczną nas lizać, podniecone. Las usłyszy nasze westchnienia, omdlewające jęki i, nagle, krzyk ugodzonych śmiertelnie. Po chwili zaś usłyszy nasz śmiech i żarty. I ujrzy, jak zapadamy w błogi sen, wciąż jeszcze jedna w ramionach drugiej.

Nie jest wykluczone wówczas, iż spostrzegłszy nas w niewoli boga Hypnosa, zachowując wszelkie środki ostrożności, żeby nie spłoszyć nas bezdźwięcznym szelestem swych kroków, onże, świadek naszych ceremoniałów, opuści swą kryjówkę i podejdzie, by przyjrzeć nam się z brzegu niebieskiego okrycia.

On będzie tam, a my tu, znów nieruchome, w kolejnej, wiecznej chwili. Foncín o twarzy posępnej, zarumienionych policzkach, oczach szeroko otwartych ze zdziwienia i z wdzięczności, z niteczką śliny zwisającą u jego świeżych ust. My, skłębione i doskonałe, równo oddychające, z pogodnym wyrazem twarzy tych, co potrafią być szczęśliwe. Będziemy tam, w trójkę, spokojni, cierpliwi, oczekując artysty z przyszłości, który, niesiony pożądaniem, uwięzi nas w snach i przenosząc pędzlem na płótno, wierzyć będzie, iż nas właśnie wymyśla.

6

Ablucje don Rigoberta

Don Rigoberto wszedł do łazienki, zamknął drzwi na zasuwkę i westchnął. Natychmiast owładnęło nim przyjemne i wdzięczne wrażenie ulgi i nadziei: przez najbliższe samotnicze pół godziny będzie szczęśliwym człowiekiem. Bywał nim każdego wieczora, czasem bardziej, czasem mniej, ale ów pedantyczny rytuał, z biegiem lat przezeń udoskonalany niczym arcydzieło korygowane i szlifowane przez swego twórcę, zawsze wywoływał ten sam cudowny efekt: relaksował go, jednał z bliźnimi, odmładzał, pobudzał. Za każdym razem opuszczał łazienkę z krzepiącym poczuciem, że pomimo wszystko życie warto jest tego, żeby je przeżyć. Z tego też względu nigdy nie zrezygnował z celebrowania rytuału, odkąd – jak dawno temu? – powziął zamysł przekształcenia tego, co dla ogółu śmiertelników było zaledwie rutynowym zabiegiem, wykonywanym bezmyślnie i machinalnie – umycie zębów, wyplukanie zębów i tak dalej – w wyrafinowany akt, który przynajmniej na chwilę czynił zeń istotę doskonałą.

Za młodu był entuzjastycznie zaangażowanym członkiem Akcji Katolickiej, marzącym o przeobrażeniu świata. Szybko pojął, iż owo marzenie, pospołu z wszystkimi kolektywnymi ideałami, jest tyleż nierealne, co i skazane na niepowodzenie. Zmysł praktyczny skłonił go do nietrwonienia czasu na toczenie bojów, które wcześniej czy później i tak musiałby przegrać. Wtenczas począł snuć domniemania, czy przypadkiem ideał doskonałości nie jest możliwy do urzeczywistnienia wyłącznie przez jednostkę odosobnioną, ograniczoną do zredukowanej sfery w przestrzeni (czystość lub świętość cielesna, przykładowo, lub też praktyka erotyczna) i w czasie (ablucje i wieczorne zajęcia przed nocnym spoczynkiem).

Zdjął szlafrok, powiesił go na drzwiach i, nagi, tylko w kapciach, siadł na sedesie, oddzielonym od reszty łazienki parawanem z niebieskiej laki ozdobionym tańczącymi figurkami. Jego żołądek funkcjonował niczym szwajcarski zegarek: zdyscyplinowany, punktualny, wypróżniał się zawsze o tej porze, całkowicie, bez najmniejszego wysiłku, jakby szczęśliwy, iż pozbywa się przeróżnych polis i wszystkich kłopotów dnia. Odkąd podjął, najsekretniejszą w swoim życiu, decyzję – sekretną do tego stopnia, iż przypuszczalnie nawet Lukrecji nigdy nie będzie dane poznać jej dogłębnie – postanawiając być, choćby na krótko, lecz każdego dnia istotą doskonałą i wypracowując tę ceremonię, nie zaznał już ani razu zatykających zapań czy deprymujących biegunek.

Don Rigoberto przymknął oczy i napał, leciutko. Zbędny był jakikolwiek większy wysiłek: natychmiast poczuł dobroczynne łaskotanie w odbytnicy i poddał się wrażeniu, że tam, wewnątrz, w próżni dolnej części brzucha, coś pokornie uległego zamierza ruszyć, kierując się od razu ku owym drzwiom wyjściowym, które, dla ułatwienia przejścia, zaczynały już się rozwierać. Ze swej strony odbył również zaczął, z wyprzedzeniem, rozszerzać się, szykując się do ostatecznego usunięcia usuwanego, by następnie zamknąć się i nasrożyć tysiącami zmarszczek, jakby naigrawając się: „Już cię tu nie ma, zakało jedna, i nie ma już dla cię powrotu”.

Don Rigoberto, zadowolony, uśmiechnął się. „Srać, wypróżniać się, defekować – synonimy rozkoszy?”, pomyślał. Owszem, dlaczegoż by nie. Pod warunkiem, iż czyni się to powoli, w skupieniu, smakując cały mózół, bez najmniejszego pośpiechu, leniwie, pobudzając mięśnie jelita do łagodnego i powściągliwego drżenia. Nie należało napierać, lecz prowadzić, kierować, wytwornie towarzyszyć ześlizgowi oboli ku drzwiom wyjściowym. Don Rigoberto ponownie westchnął, wszystkimi zmysłami pochłonięty tym, co działo się w jego organizmie. Mógł nieomalże widzieć ten spektakl: owe rozkurcze i skurcze, owe soki i masy w działaniu, wszystko zaś w ciepłych cielesnych mrokach i w ciszy, przerywanej jedynie od czasu do czasu zdławionym bulgotaniem lub radosnym wietrzykiem gazów. Usłyszał wreszcie dyskretny plusk, z jakim pierwszy obol, wyproszony z jego trzewi, zanurzał się – unosił się? pograżał? – w wodnych toniach muszli. Wypadną jeszcze trzy, może cztery. Osiem wynosił jego olimpijski rekord, skutek zbyt obfitego niewątpliwie obiadu z zabójczą mieszaniną tłuszczów, węglowodanów, mąki, skrobi, zakrapianych winem i mocniejszymi trunkami. Zazwyczaj pozbywał się pięciu sztuk; wydaliwszy piątą, po paru sekundach wyczekiwania, niezbędnych, aby mięśnie, wnętrzności, odbytnica i odbył mogły powrócić do sobie właściwych pozycji, opanowywała go wewnętrzna satysfakcja ze spełnionego obowiązku i z osiągnięcia celu, wrażenie równe owemu odczuciu duchowej czystości, jakie ogarniało go w dzieciństwie, w szkole La Recoleta, po wyznaniu grzechów i odbyciu pokuty wyznaczonej przez spowiednika.

„Ale oczyszczenie brzucha jest znacznie pewniejsze niż oczyszczenie duszy”, pomyślał. Jego żołądek teraz był już czysty, bez wątpienia. Rozwarł nogi, schylił głowę i zerknął: owe cylindryczne, szarobrazowawe, na wpół zatopione bryły w zielonej muszli były tego dowodem. Który z wypowiedzianych mógłby, tak jak on w tej chwili, ujrzeć i (o ile by tego pragnął) dotknąć

cuchnących nieczystości usuniętych z duszy przez skruchę, pokutę i boskie miłosierdzie? Kiedy był wierzącym, praktykującym – teraz był jedynie tym pierwszym – nigdy nie opuściło go podejrzenie, iż pomimo spowiedzi, nieistotne na ile skrupulatnej, jakaś część brudu zawsze pozostawała przywarta do ścianek duszy, kilka zawziętych i krnąbrnych plamek, których największa nawet pokuta nie była w stanie unicestwić.

Temu samemu odczuciu, już nie tak silnemu i bez lęków, ulegał również, choć sporadycznie, od czasu, kiedy przeczytał w jednym z pism, jak przeczyszczają swoje wnętrza młodzi nowicjusze w jednym z klasztorów buddyjskich w Indiach. Do operacji niezbędne były trzy ćwiczenia gimnastyczne, sznurek i naczynie na odchody. Charakteryzowała ją prostota i przejrzystość przedmiotów i aktów, doskonałych jak koło i spółkowanie. Autor tekstu, belgijski profesor jogi, pragnąc opanować ową technikę ćwiczył z nimi przez czterdzieści dni. Opis trzech ćwiczeń, dzięki którym nowicjusze przyspieszali wydalanie, nie był, niestety, na tyle jasny, aby pozwalał na całkowite ich zrozumienie i naśladownictwo. Profesor jogi zapewniał, iż za pomocą trzech wygięć, skrętów i obrotów żołądek rozpuszczał wszystkie nieczystości i resztki diety (wegetariańskiej), której poddani byli nowicjusze. Spełniwszy ten pierwszy etap oczyszczania trzewi, młodzi chłopcy – don Rigoberto nie bez pewnej dozy melancholii wyobraził sobie ich wygolone czaszki i drobne ciała ascetów okryte szafranowymi lub może śnieżnobiałymi tunikami – przystępowali do przyjęcia odpowiedniej postawy: rozluźnieni, zgięci, z nogami w lekkim rozkroku, przywierali stopami do ziemi, tak by nie poruszyć się nawet o milimetr, podczas gdy ciało – wąż z wolna połykający nie kończąca się dżdżownicę – ruchem robaczkowym wsysało skręcający się, rozkurczający sznurek, opieszale i nieugięcie pełzający po grząskim labiryncie wnętrza, by nieubłaganie wypchnąć wszystkie resztki, pozostałości, dodatki, drobiazgi i wydzieliny pozostawione przez uchodzące obole.

„Oczyszczają się tak, jakby czyścili karabin”, pomyślał, po raz któryś odczuwając zazdrość. Wyobraził sobie brudny koniuszek postronka, wracającego na świat poprzez quevedowskie źrenice pośladków, po przebyciu i przeczyszczeniu tych wszystkich krętych i mrocznych wnętrza, i ujrzał, jak wychodzi i spada do nocnika niczym zużyta serpentyna. I tam już pozostanie, bezużyteczny, z ostatnimi nieczystościami, które przez swą obecność usunął, gotów już spłonąć na stosie. Jakże wspaniale musieli czuć się ci młodzieńcy! Lekko! Nieskalani! Nigdy nie będzie w stanie pójść w ich

ślady, w tym doświadczeniu przynajmniej. Niemniej, don Rigoberto trwał w przekonaniu, że o ile prześcigali go w technice przeczyszczania wnętrza, o tyle pozostała część jego higienicznego rytuału była nieskończenie lepiej dopracowana technicznie i precyzyjniejsza w porównaniu z umiejętnościami owych egzotycznych młodzieńców.

Dotarłszy do fazy finalnej naparł raz jeszcze, dyskretnie i bezdźwięcznie, na wszelki wypadek. Azali prawdę głosi owa anegdota, według której uczonego bibliograf, don Marcelino Menéndez y Pelayo, cierpiący na chroniczną obstrukcję, znaczną część życia spędził w swej rezydencji w Santander siedząc na klozecie, prac i stękając? Zapewniano don Rigoberta, że w domu-muzeum sławnego historyka, poety i krytyka, każdy zwiedzający mógł obejrzeć przenośny pulpit, wykonany na specjalne zamówienie gospodarza, dzięki któremu nie musiał przerywać swych dociekań i kaligrafowania podczas walki z niezbyt szczodrym brzuchem uparcie wzbraniającym się przed zrzuceniem fekalnego brudu, jaki pozostawiały w nim obfite i ciężkie dania kuchni hiszpańskiej. Don Rigoberta ogarniało wzruszenie na myśl o krzepkim intelektualiście – o tak bystrej twarzy i tak niewzruszonych przekonaniach religijnych – jak skulony w swym prywatnym ustępie, z narzuconym być może na kolana grubym pledem w kratkę, chroniącym go przed przejmującym górskim chłodem, prze i prze, godzina za godziną, grzebiąc jednocześnie i niewzruszenie w starych foliałach i zakurzonych inkunabułach dotyczących historii Hiszpanii i tropiąc, dla własnych badawczych celów, wszelakie heterodoksje, bezbożności, schizmy, bluźnierstwa i doktrynalne ekstrawagancje.

Wytarł się czterema złożonymi w pół płatkami papieru toaletowego i spuścił wodę. Przesiadł się na bidet, napełnił go ciepłą wodą i dokładnie obmył sobie odbył, członek, jądra, wzgórek, krocze i pośladki. Następnie opłukał i wytarł czystym ręcznikiem.

Dzisiaj jest wtorek, dzień przeznaczony na stopy. Tydzień podzielony miał na określone części i narządy: poniedziałek – ręce; środa – uszy; czwartek – nos; piątek – włosy; sobota – oczy; niedziela – skóra. Stanowiło to zmienny element nocnego rytuału, co zapobiegało rutynie dodając mu pewien aspekt nowości. Koncentrowanie się każdego wieczoru na konkretnej części ciała pozwalało na skrupulatniejsze poddanie się higienicznym i kosmetycznym zabiegom, umożliwiając tym samym coraz lepsze poznawanie jej i darzenie coraz większą czułością. Jednodniowa władza poszczególnych organów i sektorów nad jego zabiegami gwarantowała zachowanie dosko-

nałej równowagi w dbałości o całość: nie było miejsca na jakiegokolwiek uprzywilejowanie, zwłokę, nic z odrażających hierarchii w poszanowaniu i w postępowaniu względem części i całości. Pomyślał: „Moje ciało jest owym niemożliwym do osiągnięcia stanem: społeczeństwem egalitarnym”.

Napełnił miednicę ciepłą wodą i, usiadłszy na desce klozetowej, na czas dłuższy zanurzył stopy, aby pięty, podeszwy, palce, kostki i podbicie stęchły i rozmiękły. Nie cierpiał ani na przerosty kości, ani na płaskostopie, aczkolwiek, owszem, miał zbyt wysokie podbicie. Ot, nieistotne zniekształcenie, zupełnie niedostrzegalne dla kogoś, kto nie poddałby ich badaniom medycznym. Co się tyczy rozmiarów, proporcji, kształtów palców, paznokci i układu kostnego wszystko wydawało się być do przyjęcia i w normie. Niebezpieczeństwo groziło ze strony stwardnień i nagniotków, usiłujących co pewien czas oszpecić stopy. Potrafił jednak, zawsze w porę, wykorzenić zło.

Miał już przygotowany pumeks. Zaczął od lewej stopy. Tam, na skraju pięty, gdzie but miał większe możliwości obcierania, zaczynała zarysowywać się obca, nagniotkowa forma, która w zetknięciu z opuszkami palców sprawiała wrażenie nieotynkowanej ściany. Pocierając pumeksem to w jedną, to w drugą stronę, szlifował ją, dopóki jej całkowicie nie usunął. Z radością poczuł, iż ów skraj odzyskał połysk i gładkość reszty pięty. Choć jego palce nie odkryły żadnego innego stwardnienia ani uwidaczniającego się odcisku, zapobiegawczo wyszorował pumeksem obie podeszwy i podbicia, nie oszczędzając nawet palców.

Następnie, za pomocą przygotowanych uprzednio nożyczek i pilniczka, przystąpił do obcinania i pilowania paznokci, czynności nader rozkosznej. W tym momencie niebezpieczeństwem, któremu należało zapobiec, była zanokcica. Osobiście stosował niezawodną metodę, będącą rezultatem jego cierpliwych obserwacji i praktycznej wyobraźni: należało przyciąć paznokcie na kształt półksiężyca, pozostawiwszy na skrajach dwa nietknięte rożki, które z uwagi na swą formę mogły swobodnie wyrastać z ciała, nie wbijając się w nie. Owe saraceńskie paznokcie można było ponadto, dzięki ich postaci księżyca w ostatniej kwadrze, lepiej czyścić: ostrze pilniczka z łatwością wdzierało się w owe szczególne okopy czy też komórki pomiędzy paznokciem a ciałem, gdzie mógł gromadzić się kurz, kumulować pot, zaszyć byle śmieć. Kiedy skończył obcinanie, czyszczenie i pilowanie paznokci, skrupulatnie wypleniał naskórek, póki nie usunął całkowicie owych tajemniczych, białawych, skryzalizowanych naleciałości pośród fałdek na

stopach tworzących się wskutek tarcia, braku możliwości przewietrzenia i potu.

Ukończywszy dzieło, przyjrzał się stopom i obmacał je z czułą satysfakcją. Wrzucił do muszli wycięte skórki i brudy, zebrane uprzednio na skrawku papieru toaletowego, i pociągnął za łańcuszek. Następnie namydlił stopy i z niezwykłą starannością opłukał. Wytarłszy je, obsypał ledwie widocznym talkiem, wydającym łagodny i męski zapach heliotropu o świcie.

Pozostawało mu jeszcze dopełnienie całości niezmiennymi elementami rytuału: usta i pachy. Aczkolwiek skupiał się na nich wszystkimi zmysłami, poświęcając im tyle czasu, ile wymagało tego powodzenie operacji, do tego stopnia panował nad obrządkiem, iż uwagę swą mógł kierować i częściowo również poświęcać wybranej, każdego dnia innej, normie estetycznej, normie zapożyczanej z owego podręcznika, tabeli czy przykazań wypracowanych, w jak największej tajemnicy, oczywiście, przez siebie samego, podczas tych nocnych enklaw, które pod pozorami zabiegów higienicznych stanowiły jego prywatną religię i jemu tylko właściwy sposób ucieleśniania utopii.

Rozmieszczając na blacie z żółtego, biało żyłkowanego marmuru instrumentarium jamoustnego ofertorium – szklanekę z wodą, nitkę do zębów, pastę, szczoteczkę – wybrał jedno z twierdzeń, którego był najbardziej pewien, normę, w której prawdziwość nigdy, od chwili ostatecznego jej sformułowania, nie wątpił: „Wszystko, co lśni i błyszczący jest brzydkie, szczególnie zaś olśniewający i błyskotliwi mężczyźni”. Nabrał wody do ust i energicznie zaczął je płukać, obserwując w lustrze, jak wydymają mu się policzki, podczas gdy on nadal płukał, by oderwać pojedyncze resztki osiadłe na dziąsłach lub zwisające luźno pomiędzy zębami. „Istnieją olśniewające miasta, obrazy, olśniewające wiersze, święta, pejzaże, błyskotliwe interesy i rozprawy naukowe”, pomyślał. Należałoby się ich wystrzegać jak marnej waluty, choćby i najbardziej kolorowej, czy też owych tropikalnych i przeznaczonych dla turystów napojów przystrojonych owocami i choragieweczkami i obrzydliwie słodkich.

Między kciukiem a palcem wskazującym każdej dłoni trzymał już dwudziestocentymetrową nitkę do czyszczenia zębów. Zaczął, jak zwykle, od górnej części, z prawej na lewą, następnie zaś z lewej na prawą, przyjmując za punkt wyjścia siekacze. Wprowadzał nitkę w wąską szczelinę, unosząc nią zarazem brzegi dziąseł, gdzie zawsze zaszywały się odrażające okruszki chleba, żyłki mięsa, włókienka warzyw, miąższ i skórki owoców. Z dziecięcym uniesieniem obserwował zwyrodniałe substancje wykorzeniane

przez nitkę wyczyniająca, z jego woli, niezwykle akrobacje. Wypluwał je do umywalki i przypatrywał im się, jak spływają, po czym znikają w otworze, porywane przez wir miniaturowej trąby wodnej wydostającej się z kranu. Rozmyślał wówczas: „Istnieją olśniewające fryzury wieńczące mózgi nijakie, nie brylujące niczym lub czyniące je takowymi. Najohydniejszym słowem w hiszpańszczyźnie jest słowo: brylantyna”. Ukończywszy oczyszczanie górnego rzędu, ponownie wyplukał usta i obmył nitkę w strumieniu wody. Następnie, z równym zapałem i nie mniejszym profesjonalizmem, przystąpił do czyszczenia zębów w dolnej szczęce. „Istnieją błyskotliwe rozmowy, olśniewająca muzyka, błyskotliwe choroby, jak alergja na pył kwiatowy, podagra, depresje i stres. Istnieją, oczywiście, błyskotliwe olśnienia i olśniewające błyskotki”. Ponownie wyplukał jamę ustną i wyrzucił nitkę do kosza na śmieci.

W tym dopiero momencie mógł użyć pasty do zębów. Uczynił to poruszając szczoteczką z góry na dół, powoli i wywierając odpowiedni nacisk, aby włosie – naturalne, nigdy ze sztucznego włókna – dotarło w głąb owych kostnych rowków, w poszukiwaniu tych resztek jedzenia, które przetrwały krecią robotę nitki. Wpierw wyczyścił szczoteczką część zewnętrzną, następnie wewnętrzną. Kiedy wyplukał zęby po raz ostatni, poczuł w ustach ów przyjemny smak mięty i cytryny, tak odświeżający i młodzieńczy, jakby ktoś, w tej jamie ograniczonej dziąsłami i podniebieniem, niespodziewanie puścił w ruch wentylator, włączył klimatyzację, jego zaś siekacze i zęby trzonowe przestały być owymi twardymi i pozbawionymi czucia kośćmi, nasycając się wrażliwością warg. „Moje zęby lśnią”, pomyślał z pewnym niepokojem. „No cóż, być może jest to wyjątek potwierdzający regułę. Istnieją – pomyślał – olśniewające kwiaty, jak róża. I olśniewające zwierzęta, jak kot angora”.

Z miejsca wyobraził sobie dońę Lukrecję, naga, baraszkującą z tuzinem kotków angorskich, które miauczac ocierałyby się o wszystkie wypukłości jej urodziwego ciała, i obawiając się zbyt wczesnego wzwodu przystąpił natychmiast do mycia pach. Czynił to wielokrotnie w ciągu dnia: rano, biorąc prysznic, i w łazience towarzystwa ubezpieczeniowego w południe, tuż przed wyjściem na obiad. Ale dopiero teraz, podczas wieczornego rytuału, oddawał się tej czynności z pełną świadomością i z radością, jakby, ni mniej ni więcej, zażywał zakazanych rozkoszy. Najsampierw opłukał obie pachy jak również ramiona letnią wodą, mocno je trąc, by pobudzić krążenie. Następnie napełnił umywalkę gorącą wodą, w której rozpuścił niewielką ilość

pachnącego mydła, odczekawszy nieco, aż powierzchnia wody pokryje się całkowicie pianą. Zanurzył każde z ramion w błogiej ciepłocie i począł, cierpliwie i z czułością, myć pachy, burząc i prostując swe ciemne owłosienie w pienistej wodzie. A w jego głowie snuła się tymczasem kolejna myśl: „Istnieją olśniewające zapachy, jak zapach róży czy kamfory”. Wreszcie wytarł się ręcznikiem i dodał powabu swym pachom wodą kolońską o bardzo delikatnym bukacie, nasuwającym skojarzenie z zapachem męskiego ciała zanurzającego się w morzu lub z powiewem morskiej bryzy, która otarła się o szklarnie pełne kwiatów.

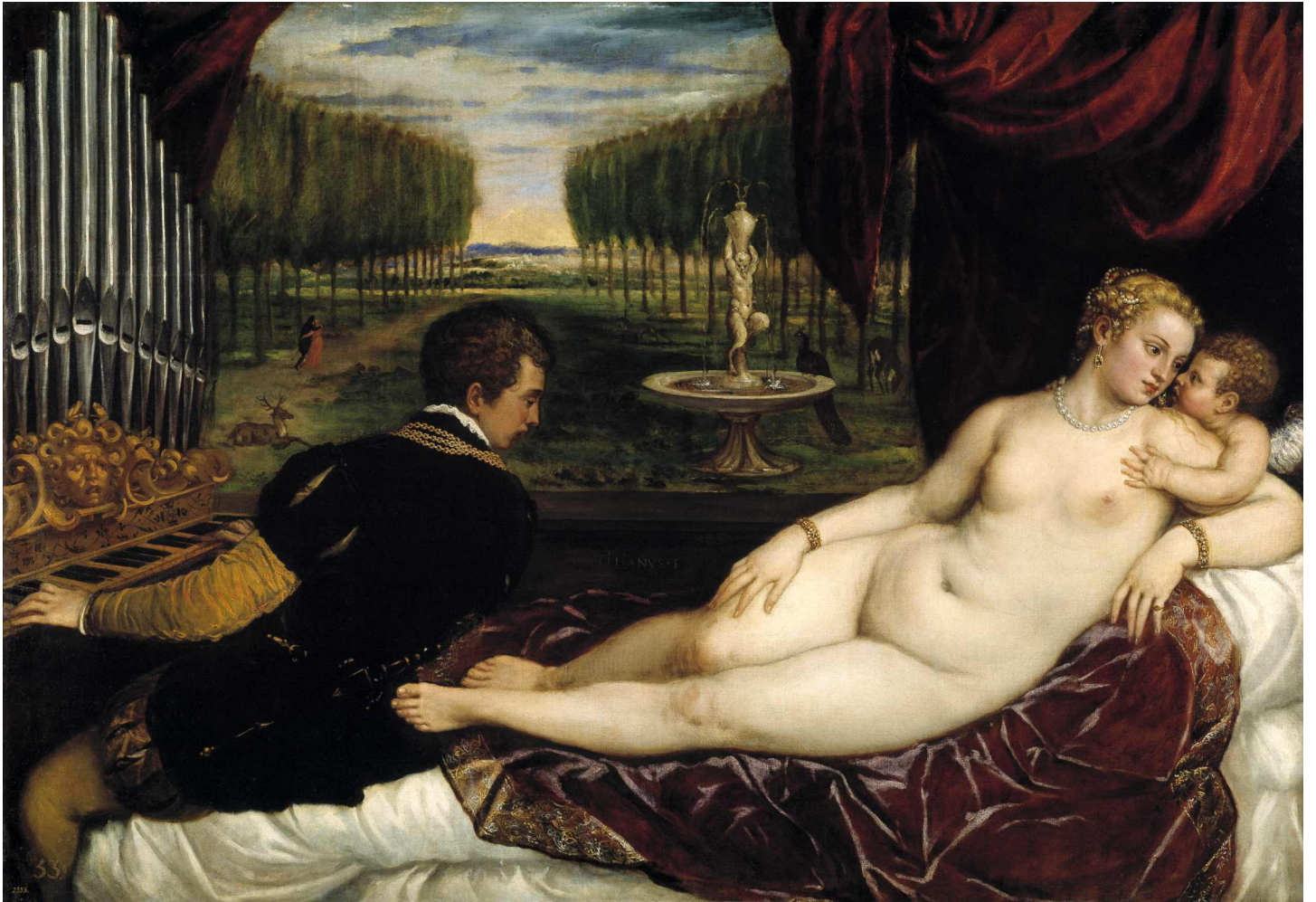
„Jestem doskonały”, rzekł sobie przeglądając się w lustrze, wciągając w nozdrza własny zapach. W jego myślach nie było nawet cienia próżności. Celem owej pracochłonnej dbałości o własne ciało nie była w żadnej mierze chęć uczynienia siebie schludniejszym czy też mniej brzydkim, czyli te kokieteryjne fanaberie, które w pewnej mierze schlebiały, częstokroć nieświadomie, pogardzanemu ideałowi pospolitości – czyż nie było się „urodziwym” dla innych? – lecz możliwość doznania, iż w ten oto sposób powstrzymuje po części działanie bezlitosnego zęba czasu i oddala lub spowalnia nieuchronne dzieło zniszczenia narzucone przez nikczemną Naturę wszelakiemu istnieniu. Poczucie, że oto podjął się tej walki, dobroczynnie wpływało na stan jego duszy. Poza tym od dnia swego ślubu, zachowując tajemnicę przed Lukrecją, walczył z rozkładem swego ciała, również w imieniu małżonki. „Niczym Amadis dla Oriany”, pomyślał. I dodał: „W twoim imieniu i dla ciebie, miłości ma”.

Perspektywa napotkania, po zgaszeniu światła i wyjściu z łazienki, oczekującej nań w łóżku żony pogrążonej w zmysłowej drzemce, oraz wszystkich pulchności gotowych do natychmiastowego przebudzenia pod jego pieśczętą, wywołała gęsią skórę na całym jego ciele. „Masz czterdzieści lat i nigdy nie byłaś tak piękna – szepnął podążając ku drzwiom. – Kocham cię, Lukrecjo”.

Nim łazienka zatonąła w ciemnościach, w ostatniej sekundzie, dostrzegł w jednym z luster toaletki, iż jego emocje i starania przeobraziły już jego człowieczeństwo w sylwetkę wojowniczą, w profil, mający w sobie coś z cudownego zwierzęcia średniowiecznych mitologii: jednorożca.

7

Wenus z miłością i z muzyką



Tiziano Vecelio - *Wenus z Amorem i Muzyką*, olej na płótnie, Madryt, Muzeum Prado

Ona to Wenus, italska Wenus, córka Jupitera, siostra Afrodyty, Greczynki. Organista daje jej lekcje muzyki. Ja nazywam się Amor. Drobniutki, pulchniutki, rumiany i skrzydlaty, liczę sobie tysiąc lat i jestem czysty jak ważka. Jeleń, paw i łania, widoczne za oknem, są równie żywe jak para tulących się do siebie zakochanych, którzy przechadzają się w cieniu topolowej alei. W przeciwieństwie do satyra z fontanny, z którego głowy, zwieńczonej alabastrowym dzbanem, tryska krystaliczna woda: on nie jest żywy, to kawał toskańskiego marmuru, ukształtowany przez biegłego artystę z południowej Francji.

Nasza trójka jest równie żywa i pełna życia jak potok, który spływa z gór śpiewając pośród kamieni, lub jak harmider papug sprzedanych naszemu panu, don Rigobertowi, przez kupca z Afryki. (Zniewolone ptaki nudzą się teraz w klatce wystawionej do ogrodu). Zmierzch już nastaje i niebawem zapadnie noc. A kiedy ta nadejdzie w swych ołowianych łańchmanach, organy zamilkną, ja zaś i nauczyciel muzyki będziemy musieli odejść, żeby właściciel wszystkiego, co tu widać, wszedł do tego pokoju i posiadł swoją panią. Wenus natenczas, dzięki woli naszej i naszej biegłości, przysposobiona już będzie, aby go przyjąć i czas mu umilić z oddaniem należnym jego dostojności i jego fortunie. To znaczy ogniście jak wulkan, zmysłowo jak waż i z godnością angorskiej kotki.

Młody nauczyciel i ja nie jesteśmy tu dla uciechy, lecz pracujemy, aczkolwiek prawdą jest, iż każda praca wykonywana sprawnie i z oddaniem staje się przyjemnością. Naszym zadaniem jest rozbudzenie cielesnej radości pani, ożywiając popioły każdego z jej pięciu zmysłów dopóty, dopóki nie rozgorzeją wszystkie płomieniem, a jej jasną głową nie owładną brudne fantazje. Don Rigoberto lubi, abyśmy oddawali mu ją właśnie taką: rozpaloną i roznamiętnioną, odstępującą na czas jakiś od swych moralnych i religijnych uprzedzeń, z umysłem i ciałem ogarniętymi jedynie pożądaniem. Zadanie wdzięczne, ale i niełatwe; wymaga cierpliwości, sprytu i zręczności w sztuce zestrzajania furii instynktu z subtelnością ducha i czułością serca.

Nabożna, wciąż powracająca melodia płynąca z organów stwarza odpowiednią atmosferę. Sądzi się powszechnie, iż muzyka organowa, tak ściśle związana z mszą i z pieśnią religijną, odzmysławia, a nawet odcieleśnia pokornego śmiertelnika nurzając go w swych falach. Nic bardziej błędnego; w istocie bowiem organy swą obsesyjną tęsknotą, swym łagodnym

miauczeniem, odrywają jedynie chrześcijanina od doczesności i przypadkowości, izolując jego duszę, tak aby mogła się zwrócić ku czemuś wyjątkowemu i szczególnemu: ku Bogu i myśli o zbawieniu, tak, owszem, w niezliczonych przypadkach; ale ponadto, w wielu przypadkach, również w stronę grzechu, potępienia, rozpusty i innych, opatrzonych groźnie i pospolicie brzmiącymi nazwami stanów, jakie da się określić jednym czystym słowem: rozkosz.

Dźwięki organów uspokajają panią i dopomagają jej w koncentracji; miękki bezruch podobny ekstazie porywa ją i wówczas pani przymyka nieco oczy, by jeszcze bardziej skupić się na melodii, która w miarę jak ją przenika, oddala z jej duszy codzienne troski i urazy, wypędzając zarazem wszystko, co nie jest wyłącznie słuchaniem, czystym wrażeniem. I taki jest początek. Nauczyciel gra z dużą biegłością i swadą, bez zbytniego pośpiechu, utrzymując łagodne, nużące *crescendo*, dobierając niejednoznaczne utwory, przenoszące nas dyskretnie w surowe ustronia nakazane przez świętego Bernarda, w procesje uliczne, które niepostrzeżenie przeistaczają się w pogański karnawał, stamtąd zaś, w jednej chwili, w chorał gregoriański śpiewany w jednym z opactw lub w mszę w katedrze, z mnogością purpuratów i, wreszcie, w wielobarwny bal maskowy w podmiejskiej rezydencji. Wino leje się strumieniami, a w ogrodowych altankach mają miejsce podejrzane przeobrażenia. Siedząca na kolanach lubieżnego i spasionego starca urodziwa pasterka nagle zrzuca maseczkę. I kimże się okazuje? Jednym z chłopców stajennych! Lub owym głupim wiejskim obojnakiem o męskim członku i kobiecych sutkach!

Moja pani widzi wszystkie te obrazy jeden po drugim, bo chytrze, w rytmie melodii, wyszeptuje jej każdy z nich do ucha. Moja roztropność i wiedza przekłada jej na kształty, barwy, postaci i podniecające czynności poszczególne nutki będących ze mną w zmowie organów. Właśnie to czynię w tejże chwili, uczepiony niemal jej plecóm, wysuwając kremową twarzyczkę zza jej ramienia niczym żądło: mruczę grzeszne opowiastki. Historyjki, które ją bawia, rozśmieszają, historyjki, które napawają lękiem i rozpalają.

Nauczyciel nie może przerwać gry ani na chwilę: głowę ma zaprzątniętą wyłącznie organami. Don Rigoberto uprzedził: „Jeśli miechy przestaną pracować choćby na ułamek sekundy, uznam, iż uległeś pokusie dotknięcia. Wówczas wbiję ci ten oto sztylet w serce, a zwłoki twe rzucę ogarom. W ten sposób, młodzieńcze, dowiemy się, co jest w tobie silniejsze: pożądanie mojej

urodziwej pani czy przywiązanie do życia”. Przywiązanie do życia jest, oczywiście, silniejsze.

Ale dotykając klawiszy ma prawo patrzeć. Jest to przywilej, dzięki któremu czuje się zaszczycony i podniecony, dzięki któremu czuje się monarchą albo bogiem. Korzysta zeń z rozkosznym ukontentowaniem. Jego spojrzenia, ponadto, ułatwiają i dopełniają moją misję, pani bowiem, dostrzegając żar i uwielbienie, jakim obdarzają ją oczy owej gołowąsej twarzy, i przeczuwając gorączkowe pragnienia, jakie wzbudzają we wrażliwym młodzieńcu jej miękkie, białe kształty, nie potrafi stłumić wzruszenia i ukryć, iż ulega zmysłowemu nastrojowi.

Tym bardziej, kiedy organista patrzy właśnie tam, gdzie patrzy. Co znajduje lub czego szuka w tym Wenusowym zakątku młody muzyk? Co usiłują dostrzec jego dziewicze oczy? Co go aż tak przyciąga w owym trójkącie przejrzystej skóry, okolonym błękitnymi jak strumyki żyłkami i ocienionym przez zgolony zagajnik wzgóрка łonowego? Nie potrafiłbym odpowiedzieć i sądzę, że on też by nie potrafił. Ale jest tam coś, co każdego wieczoru wabi jego oczy z siłą jakiegoś fatum lub z magiczną mocą uroku. Coś jak przecucie, że u stóp nasłonecznionego wzgóрка Wenery, w miękkiej, chronionej przez gładkie kolumny ud pani, gąbczastej, czerwonawej, zwilżonej rosą jej intymności szczelinie, bije źródło życia i rozkoszy. Niebawem nasz pan, don Rigoberto, nachyli się, aby spić z niego ambrozię. Organista dobrze wie, że napój ten zawsze będzie mu zakazany, wkrótce bowiem wstąpi do zakonu dominikanów. Jest religijnym chłopcem, który od najwcześniejszego dzieciństwa czuje boskie powołanie i nic ani nikt nie jest w stanie odciągnąć go od stanu kapłańskiego. I choć – jak mi wyznał – owe wieczorne koncerty przyprawiają go o lodowaty pot i zaludniają jego sny demonami o kobiecych piersiach i pośladkach, to przecież w żadnej mierze nie zdołały osłabić jego religijnego powołania. Raczej wręcz odwrotnie: przekonały go ostatecznie, iż aby zbawić własną duszę i dopomóc innym w zbawieniu, konieczna jest rezygnacja z próżności i cielesności tego świata. Być może z takim uporem spogląda na kędzierzawy ogród swojej pani, aby siebie samego doświadczyć i Bogu okazać, że potrafi oprzeć się pokusom, nawet tej najbardziej szatańskiej: niezniszczalnemu ciału naszej pani.

Ani jej, ani mnie nie dręczą owe problemy sumienia czy moralności. Mnie, bo jestem pogańskim i, na domiar wszystkiego, nie istniejącym bożkiem, niczym mniej i niczym więcej jak wytworem ludzkiej wyobraźni, jej zaś dlatego, że jest posłuszną żoną, poddającą się tym preludium do małżeń-

skiej nocy przez szacunek dla męża, który je programuje w najdrobniejszych szczegółach. Chodzi więc o damę posłuszną woli swego pana, czyli taką, jaką powinna być każda chrześcijańska małżonka, a zatem, jeśli w tych zmysłowych agapach jest grzech, to mniemać należy, że rzucają one cień jedynie na duszę tego, kto dla osobistej rozkoszy je obmyśla i nimi zarządza.

Również delikatna, pracochłonna fryzura pani, z puklami, ondulacjami, z kokieteryjnymi, wolno puszczone kosmykami, wzniesieniami i spadkami, z ozdobami z egzotycznych pereł, to spektakl przygotowywany przez don Rigoberta. To on wydaje precyzyjne wskazówki fryzjerom i on codziennie dokonuje przeglądu, niczym dowódca lustrujący swój oddział, armii klejnotów ze ślubnego wiana pani, aby wybrać te, które lśnić będą najbliższej nocy w jej włosach, okalać jej szyję, zawisną u jej delikatnych uszu i ścisnąć będą jej palce i przeguby. „Ty to nie ty, ale moja wyobraźnia”, szepce jej on – jak mi wyznała – kiedy ją kocha. „Dziś nie będziesz Lukrecją, lecz Wenus, dziś z Peruwianki przeistoczysz się we Włoszkę, a z istoty ziemskiej w boginię i symbol”.

Być może rzeczywiście tak się dzieje w wyrafinowanych rojeniach don Rigoberta. Ale ona nadal jest realna, konkretna, żywa jak nie zerwana z krzewu róża lub śpiewający ptak. Czyż nie jest piękną kobietą? Tak, przepiękną. Przede wszystkim w tej właśnie chwili, kiedy zaczynają się budzić jej instynkty dzięki przemyślnej alchemii długo brzmiących nut płynących z organów, drżącym spojrzeniom muzyka i żarliwym sprośnościom, które sączą jej do ucha. Moja lewa dłoń, na jej piersi, czuje, jak jej skóra z wolna napręża się i rozgrzewa. Jej krew zaczyna wrzeć. Jest to właśnie chwila, w której ona osiąga pełnię lub (by rzec to uczenie) stan, zwany przez filozofów absolutem, przez alchemików zaś transsubstancją.

Słowem, które najzwężlej określa jej ciało, jest słowo: puszyste. Gdy drażnię ją lubieżnymi historyjkami, wszystko w niej staje się kragłe, wypukłe, jest falującym wznoszeniem, miękkością w temperze. Oto konsystencja, jaką wybredny smakosz powinien przedkładać nad inne dla swej towarzyski w godzinę miłości: miękka obfitość, która, zda się, lada chwila się rozleje, niemniej nadal jest spoista, rozluźniona, elastyczna niczym dojrzały owoc i świeżo rozczynione ciasto, owa świeża struktura, zwana przez Włochów *morbidevga*, słowo, które nawet użyte wyłącznie w odniesieniu do chleba brzmi bezwstydnie.

Teraz, gdy jest już rozpalona od wewnątrz, a jej główka fosforyzuje od lubieżnych obrazów, wdrapię się na jej plecy i sturlam się w satynową

geografię jej ciała, łaskocząc ją skrzydełkami w najodpowiedniejszych miejscach, i zaczę zbytkować jak szczęśliwe szczenię na ciepłej poduszce jej brzucha. Moje swawole rozśmieszają ją i rozpalają jej ciało, aż cała płonie rumieńcem. Moja pamięć już słyszy jej nadchodzący śmiech, śmiech, który zagłusza jęki organów i pokrywa płynną śliną wargi młodego nauczyciela. Kiedy ona się śmieje, jej sutki twardnieją i wznoszą się, jakby ssały je niewidzialne usta, a mięśnie jej brzucha wibrują pod gładką, pachnącą wanilią skórą, sugerując nieprzebrane skarby ciepła i potu jej wnętrza. W tej właśnie chwili mój zadarty nos może wciągnąć zapach przejrzałego sera jej sekretnych soków. Woń tej miłosnej wydzieliny doprowadza do obłędu don Rigoberta, który – sama mi to opowiedziała – na kolanach, niczym w modlitwie, wchłania ją i nasycy się nią upojony szczęściem. Jest to, jak zapewnia, afrodyzjak znacznie skuteczniejszy od wszystkich eliksirów preparowanych na plugawych mieszankach i sprzedawanych kochankom przez wiedźmy i rajfurów tego miasta. „Dopóki będziesz tak pachnieć, dopóty będę twoim niewolnikiem”, wyznaje jej – tak mi mówiła – choć płacze mu się język w tym oszołomieniu miłosnymi oparami.

Niebawem drzwi staną otworem i usłyszymy cichutki szelest kroków don Rigoberta stąpającego po dywanie. Niebawem ujrzymy, jak podchodzi do łoża, by sprawdzić, czy ja i nauczyciel muzyki zdołaliśmy zbliżyć przyziemną rzeczywistość do blichtru jego fantazji. Słyszając śmiech pani, widząc ją, oddychając nią, zrozumie, że do pewnego stopnia tak się stało. Wówczas, niedostrzegalnym niemal gestem, wyrazi nam swą aprobatę, co zarazem stanowić będzie dla nas rozkaz odejścia.

Organy zamilkną; niskim skinieniem głowy nauczyciel pożegna się i odejdzie przez patio obsadzone drzewkami pomarańczowymi, ja zaś umknę przez okno i odfrunę ku pachnącej nocy łąk.

W alkowie pozostanie tylko tych dwoje i gwar ich czułych potyczek.

8

Sól jęgo łez

Justyniana, z oczami jak spodki, nie przestawała gestykulować. Jej ręce przypominały śmigła.

– Mały Alfonso mówi, że się zabije! Bo pani już go nie kocha, tak mówi! – przerażona mrugała oczami. – Właśnie pisze do pani list pożegnalny, proszę pani.

– To pewnie jeszcze jedna z tych bzdur, które... – bąknęła doña Lukrecja, spoglądając w jej odbicie w lustrze toaletki. – A tobie tylko fiu-bzdziu w głowie, co?

Ale po minie służącej widać było, że to nie żarty, więc doña Lukrecja, właśnie regulująca sobie brwi, wypuściła z rąk pęsetę i nie zadając już pytań, rzuciła się do prowadzących na dół schodów. Justyniana pobiegła za nią. Drzwi dzieciennego pokoju były zamknięte na klucz. Macocha zapukała: „Alfonso, Alfonsito”. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, a zza drzwi nie dotarł najmniejszy szmer.

– Fonsiu, Fonsiku! – doña Lukrecja, krzycząc, ponownie zapukała do drzwi. Czują jak lodowaty dreszcz przebiega jej po plecach. – Otwórz! Dobrze się czujesz? Dlaczego nie odpowiadasz? Alfonso!

Klucz ze zgrzytem przekreślił się w zamku, drzwi jednak pozostały zamknięte. Doña Lukrecja wzięła głęboki oddech. Podłoga pod jej stopami znowu była gruntem stałym, nieprzyjazna gołoledź ustąpiła, a świat wracał do ładu.

– Zostaw mnie z nim samą – poleciła Justynianie.

Weszła do pokoju i zamknęła drzwi za sobą. Teraz, gdy strach już minął, z trudem hamowała złość.

Dzieciak, jeszcze w koszuli i w spodniach szkolnego mundurka, siedział z opuszczoną głową przy biurku. Podniósł głowę, twarz miał smutną, nieruchomą i piękną jak nigdy. Chociaż przez okno dostawało się sporo dziennego światła, zapalił sobie lampkę i w złotym kręgu padającym na zielonkawy filc doña Lukrecja dostrzegła pisany przez niego list, nie wyschnięty jeszcze, błyszczący atrament i otwarty piórnik obok drobnej rączki o poplamionych palcach.

Podeszła powoli.

– Co ty wyprawiasz? – szepnęła.

Drżał jej głos i ręce, piersi unosiły się i opadały.

– Piszę list — odpowiedział szybko i zdecydowanie. – Do ciebie.

– Do mnie? – uśmiechnęła się, usiłując okazać, że to jej pochlebia. – Mogę przeczytać?

Alfonso przykrył dłonią kartkę papieru. Miał rozwichrzone włosy i bardzo poważny wyraz twarzy.

– Jeszcze nie – w jego spojrzeniu malowała się dorosła stanowczość, głos brzmiał wyzywająco. – To list pożegnalny.

– Pożegnalny? Czy masz zamiar gdzieś wyjechać, Fonsito?

– Mam zamiar się zabić – usłyszała doña Lukrecja: nie spuszczał wzroku, nie poruszył się. Ale po chwili już się załamał, w oczach pojawiły się łzy. – Bo ty mnie już nie kochasz, macocho.

Te słowa, które wygłosił na pół żałośnie, na pół agresywnie, z twarzą wykrzywioną w nadaremnie powstrzymywanym, płaczącym grymasie, i ten ton wzgardzonego kochanka, zupełnie nie przystający do jego chłopięcej postaci w krótkich spodenkach, całkowicie rozbroiły donę Lukrecję. Zamarła, oniemiała z szeroko otwartymi ustami nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

– Ależ, Fonsito, co za głupstwa wygadujesz – wymamrotała wreszcie, oprzytomniawszy nieco. – Ja cię nie kocham? Ależ kochanie, przecież ty jesteś dla mnie jak własny syn. Ja ciebie...

Zamilkła, Alfonso bowiem rzucając się w jej ramiona, obejmując ją, rozplakał się. Łkał przyciskając twarz do brzucha doña Lukrecji, jego drobnym ciałem wstrząsały westchnienia i dyszenie wygłodniałego szczeniaka. Był dzieckiem, teraz był nim bez najmniejszej wątpliwości, wskazywał na to ów rozpaczliwy szloch i niekłamana szczerłość okazywanego cierpienia. Zmagając się sama z sobą, żeby nie dać się ponieść wzruszeniu dławiającemu jej gardło i wyciskającemu jej łzy z oczu, doña Lukrecja pogłaskała malca po włosach. Zmieszana, targana sprzecznymi uczuciami, słuchała, jak wyrzuca z siebie wszystkie żale, wychlipuje skargi.

– Nie odzywasz się do mnie już od kilku dni. Pytam się o coś, a ty się odwracasz. Nie pozwalasz mi się już pocałować ani na dzień dobry, ani na

dobranoc, a kiedy wracam ze szkoły, to patrzysz na mnie, jakbym ci przeszkadzał. Dlaczego, macocho? Co takiego ci zrobiłem?

Doña Lukrecja zaprzeczała i całowała go po włosach. Nie, Fonsito, to wszystko nieprawda. Skąd u ciebie takie przewrażliwienie, dzieciaku! I próbowała znaleźć najłagodniejszą formę wyjaśnienia mu wszystkiego. Ona miałaby go nie kochać? Ależ serduszko moje, kocham, i to bardzo, bardzo! Przecież cały czas zamartwia się o niego, myśli o nim zawsze, kiedy jest w szkole albo gra z kolegami w piłkę. Chodzi o to, że po prostu niedobrze jest, żeby tak bardzo był do niej przywiązany, żeby w ten sposób okazywał oddanie swojej macosze. To mogłoby mu zaszkodzić, głuptasku, ta popędliwość i porywczosć w wyrażaniu swych uczuć. Z emocjonalnego punktu widzenia byłoby lepiej, żeby nie był tak bardzo uzależniony od kogoś takiego jak ona, znacznie starszej od niego. Swoje uczucia, swoje zainteresowania powinien dzielić z innymi osobami, powinien, przede wszystkim, kierować je ku dzieciom w swoim wieku, ku swoim małym przyjaciółom i kuzynom. I dzięki temu szybciej dorośnie, ukształtuje własną osobowość i w ten sposób zostanie mężczyzną z silnym charakterem, z którego później ona i don Rigoberto będą tacy dumni.

Niemniej, gdy doña Lukrecja wypowiadała te słowa, coś w jej sercu zadawało im kłam. Była przekonana, że dziecko również nie zwraca uwagi na jej wyjaśnienia. Może jej nawet wcale nie słuchał. „Nie wierzę w ani jedno własne słowo”, pomyślała. Teraz, kiedy jego płacz ucichł, choć od czasu do czasu wstrząsało nim głębokie westchnienie, Alfonsito zdawał się szczególnie zafascynowany dłońmi macochy. Wziął je w swoje ręce i całował powolutku, nieśmiało, z namaszczeniem. Następnie, podczas gdy pocierał nimi swój gładki policzek, doña Lukrecja usłyszała, jak mruczy cichutko, jakby zwracał się jedynie do szczupłych palców, które ścisnął z całą siłą: „Ja bardzo cię kocham, macocho. Bardzo, bardzo... Nigdy więcej mnie tak nie traktuj jak przez te ostatnie dni, bo się zabiję. Przysięgam, że się zabiję”.

I wówczas, jakby w jej wnętrzu nagle puściła jakaś tama i fale potoku natarły na jej rozwagę i ostrożność, zatapiając je, rozbijając w proch odwieczne zasady, których nigdy nie podawała w wątpliwość, i nawet jej instynkt samozachowawczy. Przykucnęła oparłszy się jednym kolanem o ziemię, aby znaleźć się na tym samym poziomie co siedzący malec, po czym przygarnęła go i pogłaskała, uwolniona z więzów, czując się inną osobą tkwiącą jakby w samym sercu nawałnicy.

– Już nigdy więcej – powtórzyła z trudem, gdyż wzruszenie ledwie jej pozwalało wypowiadać te słowa. – Przysięgam, że nigdy więcej nie będę cię tak traktować. Mój chłód w tych dniach był całkowicie udawany, kruszynko. Ależ ja byłam głupia, chcąc twojego dobra zadałam ci ból. Wybacz mi, kochanie...

I jednocześnie całowała jego rozwichrzone włosy, czoło, policzki, czując na ustach sól jego łez. Kiedy wargi malca odnalazły jej usta, nie odmówiła mu ich. Przymykając oczy pozwoliła się całować i oddała mu pocałunek. Po chwili rozzuchwalone usta dziecka natarły mocniej, a wtedy ona otworzyła swoje pozwalając, by nerwowa żmijka, niezgrabna i wylękniona z początku, później coraz śmielsza, zagościła w jej ustach i przemierzyła je, skacząc z jednej strony na drugą po dziąsłach i zębach, i nie cofnęła również dłoni, którą nagle poczuła na swojej piersi. Spoczęła tam spokojnie, na chwilę, jakby nabierając sił, a następnie poruszyła się i popieściła pierś ostrożnym ruchem, lekko naciskając. Choć w głębi ducha jakiś głos przynaglał ją do natychmiastowego wstania i odejścia, doña Lukrecja nie wstała z miejsca. Przeciwnie, przycisnęła malca do siebie i bez żadnych zahamowań całowała go nadal, z gwałtownością i swobodą narastającą pospołu z pożądaniem. Dopóki, niczym przez sen, nie usłyszała hamującego samochodu i, nieco później, wołającego ją głosu męża.

Przerażona, jednym skokiem znalazła się na nogach; zaraziła strachem dziecko, które patrzyło na nią teraz zalęknione. Spostrzegła ubranie Alfonsa w nieładzie, ślady szminki na jego ustach. „Marsz pod prysznic”, rozkazała szybko, wskazując mu ręką łazienkę, dzieciak przytaknął głową i pobiegł tam.

Oszołomiona opuściła pokój i, potykając się niemal co krok, przeszła przez salonik wychodzący na ogród. Zamknęła się w łazience gościnnej. Czowała się wykończona, jak po długim biegu. Gdy przeglądała się w lustrze, nashedł ją atak histerycznego śmiechu, który zdusiła zakrywając dłonią usta. „Skończona idiotko”, zgromiła się w duchu. Następnie usiadła na bidencie i odkręciła kran. Poddawała się drobiazgowemu myciu, doprowadziła do porządku ubranie, poprawiła włosy i makijaż i nie opuściła łazienki, dopóki nie poczuła, że spokój wrócił jej całkowicie i że ponownie jest panią własnej twarzy i własnych gestów. Kiedy wyszła na przywitanie męża, była odświeżona i uśmiechnięta, jakby nie przydarzyło jej się nic nadzwyczajnego. Ale choć don Rigoberto odebrał jej zachowanie jako równie czułe i troskliwe jak zawsze, pełne szacunku i żartobliwej kokieterii, i wysłuchał jej relacji z

minionego dnia z tym samym co zwykle zainteresowaniem, w duszy doñi Lukrecji tlił się skryty niepokój nie opuszczający jej ani przez chwilę, jakiś niesmak, który od czasu do czasu wywoływał dreszcze i ssanie w żołądku.

Dzieciak zjadł kolację razem z nimi. Zachowywał się cichutko i grzecznie, tak jak zwykle. Wybuchami figlarnego śmiechu przyjmował dowcipy ojca i nawet poprosił, by opowiedział jeszcze inne, „te tłuste, tatusiu, te trochę świńskie”. Kiedy jej spojrzenie krzyżowało się z jego wzrokiem, doña Lukrecja nie mogła się nadziwić, że w tych pogodnych oczach, bladoniebieskich, bez cienia chmurki, nie ma najmniejszego śladu szelmostwa czy satysfakcji ze wspólnej tajemnicy.

Parę godzin później, w mrocznej intymności sypialni, don Rigoberto jeszcze raz szepnął, że ją kocha, i okrywając pocałunkami wyraził swą wdzięczność za wszystkie te dni i noce, za bezgraniczne szczęście, jakie go dzięki niej przeppełniało. „Od dnia naszego ślubu uczę się żyć, Lukrecjo – usłyszała jego podniecony głos. – Gdyby nie ty, umarłbym nie mając tej wiedzy, którą mam, i nie podejrzewając nawet, czym naprawdę jest rozkosz”. Słuchała go wzruszona i szczęśliwa, ale nawet w tej chwili nie mogła nie myśleć o dziecku. Pomimo to, owa niepożądana bliskość, owa anielska obecność małego podglądacza nie zubożała jej, lecz raczej zaprawiała jej doznania jakimś gorączkowym niepokojem.

– Nie pytasz mnie, kim jestem? – wyszeptał wreszcie don Rigoberto.

– Kim, kim jesteś, kochanie? – odpowiedziała mu zachęcająco, z oczekiwaną niecierpliwością.

– Potworem jestem – ledwie usłyszała jego głos, dochodzący z daleka, szubujący już wysoko na skrzydłach fantazji.

9

Wizerunek człowieka



Francis Bacon - *Głowa I* (1948), olej z temperą, Nowy Jork, kolekcja Richarda S. Zeislera

Lewe ucho, o ile pamiętam, straciłem w walce z innym człowiekiem. Ale poprzez wąską szczelinę, jaka została po odgryzionym uchu, słyszę wyraźnie wszystkie dźwięki tego świata. Widzę też nieźle, choć patrzeć muszę z ukosa, co sprawia mi pewne trudności. Bo choć na pierwszy rzut oka na to nic wygląda, ta niebieskawa narośl po lewej stronie moich ust to oko. To, że tam jest, że funkcjonuje ogarniając kształty i kolory, to cud medycyny, świadectwo nadzwyczajnego postępu, który cechuje czasy, w jakich żyjemy. Powinienem być skazany na nieustanną ciemność, od czasu wielkiego pożaru – nie pamiętam, czy wybuchł w wyniku bombardowania, czy zamachu – po którym wszyscy pozostali przy życiu zostali pozbawieni wzroku i włosów. Na szczęście straciłem tylko jedno oko; drugie zostało uratowane przez oftalmologów po szesnastu operacjach. Pozbawione jest powiek i często łzawi, ale dzięki niemu mogę oglądać i, nade wszystko, szybko wykryć wroga.

Ten szklany sześcian, w którym przebywam, to mój dom. Poprzez jego ściany wszystko widzę, ale nikt nie może mnie widzieć z zewnątrz: najodpowiedniejszy system zabezpieczenia domu w tych czasach przerażających pułapek. Szyby mojej siedziby są oczywiście kuloodporne, pyłoodporne, antyradiacyjne i dźwiękoszczelne. Zawsze perfumowane są zapachem spoconych pach i piżma, wonią, która mnie – i wiem, że tylko mnie – urzeka.

Mam bardzo rozwinięty zmysł węchu i dzięki nosowi przeżywam największe rozkosze i katusze. Czy mogę nazywać nosem ten błonowaty i gigantyczny narząd, co rozpoznaje wszystkie, nawet najmniej wyczuwalne zapachy? Mam na myśli ową szarawą masę, pokrytą białymi strupami, która zaczyna się na wysokości moich ust i, rozrastając się, opada ku mojej byczej szyi. Nie, to nie jest opuchlizna, wole ani jabłko Adama rozdęte w wyniku akromegalii. To mój nos. Wiem, że nie jest ani urodziwy, ani użyteczny, gdyż jego nadmierna wrażliwość przeistacza go w narzędzie tortur, kiedy w sąsiedztwie rozkłada się zdechły szczur lub rurami przechodzącymi przez moje mieszkanie spływają cuchnące substancje. Ale mimo to bardzo go sobie cenię, a czasami myślę, że mój nos jest siedzibą mojej duszy.

Nie mam ramion i nóg, ale wszystkie moje cztery kikuty są porządnie zagojone, odpowiednio twarde, tak iż mogę poruszać się z łatwością po ziemi, a nawet biegać, jeśli zajdzie potrzeba. Moim wrogom, w żadnej z

dotychczasowych pogoni, nie udało się do tej pory mnie dopaść. Jak straciłem ręce i nogi? Wypadek przy pracy, być może; albo, równie dobrze, lekarstwo, które zażyła moja matka, żeby w miarę łagodnie przejść ciążę (nie we wszystkich przypadkach, niestety, nauka osiąga właściwe rezultaty).

Mój organ płciowy jest nienaruszony. Mogę uprawiać miłość, pod warunkiem, że chłopiec lub samica, w zależności od tego, kto w danej chwili pełni rolę partnera, pozwolą mi ułożyć się w pozycji, w której moje wrzody nie będą ocierać się o ich ciało, w razie pęknięcia bowiem wydziela się z nich cuchnąca ropa, i wtedy cierpię okropne bóle. Lubię spółkować i rzekłbym, iż w pewnym sensie jestem lubieżnikiem. To prawda, że często doznaję niepowodzeń lub poniżającego przedwczesnego wytrysku. Ale czasami przeżywam długotrwałe i powtarzające się orgazmy i wówczas mam wrażenie, że jestem napowietrzny i świetlisty niczym archanioł Gabriel. Odraza, jaką wzbudzam w moich kochankach, przeradza się w zauroczenie, a nawet w szaleństwo, kiedy już – przeważnie za pomocą alkoholu lub narkotyków – przewyciężą swe początkowe uprzedzenia i przystaną na to, by tarzać się ze mną w łóżku. Kobiety nawet zaczynają mnie później kochać, chłopców zaś ogarnia namiętność do mojej brzydoty. Piękna, w głębi swej duszy, zawsze zafascynowana była bestią, o czym świadczy tyle baśni i mitologii, rzadko kiedy bowiem w sercu wytwornego młodzieńca nie gnieździ się perwersja. Żadne z mych kochanków nigdy nie żałowało, że nimi byli. Wszyscy są mi wdzięczni za wtajemniczenie ich w wyrafinowane zespolenie potworności i pożądania dla doznania rozkoszy. Dzięki mnie nauczyli się, że wszystko jest i może być wrażliwe na podniecie i że każda, choćby najobrzydliwsza funkcja organiczna, nie wyłączając tych związanych z narządami trawiennymi, wzbogacona o miłość staje się uduchowiona i szlachetna. Taniec imiesłówów przysłówkowych współczesnych czynnych tańczących ze mną – bekając, szczając, defekując – towarzyszy im później niczym melancholijne wspomnienie czasów minionych i owego staczania się w nieczystości (coś, co korci wszystkich, a co tak niewielu ma odwagę urzeczywistnić), jakie w moim towarzystwie przeżyli.

Największym powodem do dumy są moje usta. To nieprawda, że są rozwarte na oścież, bo wyję z rozpaczy. Mam je otwarte, żeby ukazać moje białe i ostre zęby. Czy nie są godne zazdrości? Brakuje mi tylko dwóch lub trzech zębów. Reszta jest nadal mocna i drapieżna. Jeśli zajdzie potrzeba, skruszą kamienie. Ale wolą rzucać się na piersi i zadki jałówek, wrzynać się

w cycuszki i udka kurze, piersi kapłonów i ptasie gardziołka. Zajadanie się mięsem jest przywilejem bogów.

Nie jestem nieszczęśliwy i nie chcę wcale, aby się nade mną litowano. Jestem taki, jaki jestem, i to mi wystarczy. Świadomość, że z wieloma innymi jest jeszcze gorzej, stanowi, oczywiście, wielką pociechę. Możliwe, że Bóg istnieje, ale w obecnych czasach, po tym wszystkim, co nas spotkało, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Że świat mógłby być lepszy? Tak, prawdopodobnie, ale po co Go o to pytać? Przeżyłem i mimo pozorów stanowią część ludzkiej rasy.

Przyjrzyj mi się dobrze, miłości moja. Rozpoznaj mnie, rozpoznaj się.

10

Guzowaty i zmysłowy

„Był sobie człek do swego nosa przyklejony”, wyrecytował don Rigoberto, rozpoczynając poetycką inwokacją czwartkową ceremonię. I wspomniał Josego Marię Egurena, przesubtelnego i mgławicowego poetę, który uznawszy słowo „nos” za fonetycznie ordynarne sfrancuził je i jako *nez* używał w swoich lirykach.

Czy jego nos był brzydki? To zależy, przez jakie szkła się nań patrzyło. Był mięsisty, pełny, pozbawiony kompleksów niższości, ciekawy świata, nader czuły, guzowaty i ornamentalny. Pomimo starań i zapobiegliwości don Rigoberta, dewastowały go od czasu do czasu drzazgi pryszczycy, niemniej w tym tygodniu, sądząc z tego, co mówiło lustro, nie pojawił się ani jeden do wyciśnięcia, oderwania i zdezynfekowania następnie wodą utlenioną. Wskutek niewy tłumaczonego kaprysu skórnoego, znaczna jego część, w szczególności w najbardziej wysuniętych dolnych partiach, tam gdzie zakrzywiał się i rozchylał w dwa lufciki, mieniła się szkarłatami w odcieniach starych win burgundzkich, jak nos pijaka. Don Rigoberto pił równie umiarkowanie, jak i jadł, tym samym więc jedyną możliwą przyczyną owej czerwieni, były jego zdaniem ekstrawagancje i fanaberie Pani Natury. Chyba że – oblicze męża doñi Lukrecji rozciągnęło się w uśmiechu od ucha do ucha – jego wrażliwy nochal nieustannie okrywa się rumieńcem na wspomnienie wszystkich miłosnych wydzielin wywachanych w małżeńskim łożu. Don Rigoberto spostrzegł, jak obydwie otwory jego narządu oddechowego natychmiast rozchylają się przeczuwając już owe nasienne bryzy – „zawiesiste wonności”, pomyślał – które niebawem, wdzierając się tędy, przenikną go do szpiku kości. Poczul się rozluźniony i zadowolony. Do pracy więc, wszystko ma swoje miejsce i swój czas: a to nie jest jeszcze moment na wachanie, skurczybyku.

Mocno wysmarkał w chusteczkę wpierw jeden, następnie drugi otwór, palcem wskazującym zatykając przeciwległy przewód, dopóki nie nabrał całkowitej pewności, że jego nos został już wyczyszczony ze śluzu i smarków. Następnie, chwyciwszy w lewą rękę lupę filatelisty, służącą mu zarówno do przeglądania pocztówek i erotycznych rycin ze swej kolekcji, jak i do drobiazgowych zabiegów higienicznych, w prawą zaś nożyczki do paznokci, przystąpił do uwolnienia nosa od owych nieestetycznych włosków już wysuwających swe czarne główki, aczkolwiek zostały zgilotynowane nie dalej jak tydzień temu. Zadanie wymagało precyzji orientalnego miniaturzysty, jeśli pragnęło się je doprowadzić do końca szczęśliwie i bez zadraśnięć. Don

Rigoberta ogarniał w trakcie owego zabiegu niczym nie zmacony spokój ducha, nieomalże równy stanowi „pustki i pełni” opisywanemu przez mistyków.

Niezlomna wola ujarzmienia niewdzięcznego warcholstwa własnego ciała, poprzez przymuszanie go do istnienia w ramach określonych zasad estetycznych – przy czym trzymał się norm ustalonych przez jego niezależne gusta i, w pewnym stopniu, gust Lukrecji, dzięki różnorodnym technikom wykorzeniania, przycinania, wypleniania, podlewania, ścierania, strzyżenia, polerowania itp., które zdołał opanować niczym wyśmienity rękodzielnik swoją sztukę – oddzielała go od reszty ludzi i budziło w nim to cudowne wrażenie: wrażenie, które z chwilą, gdy złączy się w mrokach alkowy ze swą małżonką, osiągnie apogeum wyjścia poza czas. Coś więcej niż wrażenie: fizyczną pewność. Wszystkie jego komórki w tej właśnie chwili stawały się wolne – ciach ciach, szczękały posrebrzane ostrza nożyczek i, ciach ciach, ścięte włoski opadały w powietrzu powoli, nieważkie, ciach ciach, ze szczytów nosa w wodne wiry umywalki ciach ciach – zawieszzone, wolne od niszczycielskiego tu i teraz, od koszmaru bycia. Oto magiczna moc rytuału, człowiek pierwotny odkrył to już na początku dziejów: przeistoczyć siebie na parę wiecznych chwil w czysty byt. Do mądrości tej dotarł sam, na własny koszt i ryzyko. Pomyślał: „Sposób na odseparowanie się od nikczemnej dekadencji, urzędniczej służalczości pospółstwa i podłych, stadnych konwenansów, by osiągnąć przez najmniejszy ułamek dnia własną, niezależną istotę”. Pomyślał: „Oto antycypacja nieśmiertelności”. Słowa nie wydały mu się nazbyt przesadne. W tym momencie czuł się – ciach ciach ciach ciach – niezniszczalny; niebawem zaś, w ramionach i między nogami swej małżonki, poczuje się monarchą. Pomyślał: „Bogiem”.

Łazienka była jego świątynią; umywalka ołtarzem ofiarnym; on najwyższym kapłanem, teraz zaś odprawiał mszę, która każdej nocy oczyszczała go z życia i odkupywała. „Za chwilę stanę się godny Lukrecji i będę z nią”, powiedział do siebie. Przyglądając mu się, ciepłym tonem przemówił do swego korpulentnego nosa: „Zaprawdę powiadam ci, że niebawem będziesz ze mną w raj, mój dobry złoczyńco”. Łase nozdrza rozchyliły się wężąc najbliższą przyszłość. Ale zamiast chwytnych, intymnych aromatów pani domu, zwietryły jedynie aseptyczną woń zmieszanej z mydłem wody, którą don Rigoberto obmywał przystrzyżone już wnętrze nosa, pomagając sobie skomplikowanymi ruchami dłoni i końskim potrząsaniem głowy.

Gdy ukończył już najdelikatniejszą część rytuału nosowego, myśl jego mogła ponownie oddać się fantazjowaniu i skojarzyła, nagle, bliskie już łóżko małżeńskie, w którym spoczywała oczekująca nań Lukrecja, z nazwiskiem, absolutnie nie do wymówienia, holenderskiego historyka i eseisty, Johana Huizingi, którego jedno z dzieł szczególnie przypadło mu do serca, utwierdzając go w przekonaniu, że zostało napisane dla niego, dla niej, dla nich obojga. Oplukując sobie nozdrza czystą wodą za pomocą kroplomierza, don Rigoberto, zadał sobie pytanie: „Czyż nasze łóżko nie jest ową magiczną przestrzenią, o której wspomina *homo ludens*?” Tak, to zrozumiałe samo przez się. Zdaniem Holendra kultura, cywilizacja, wojna, sport, prawo, religia weszły na tym umownym terytorium jako odgałęzienia, odnogi – jedne szczęśliwe, inne zdeprawowane – niepoohamowanej skłonności człowieka do gry i zabawy. Dowcipna teoria, niewątpliwie; i pomysłowa, ale prawdopodobnie fałszywa. Jednakże wstydlivy humanista nie pogłębił swej genialnej intuicji poprzez zastosowanie jej na obszarze, na którym znalazłby jej pełne potwierdzenie i gdzie nieomalże wszystko stawało się jasne w jej świetle.

„Przestrzeń magiczna, kobiece terytorium, las zmysłów”, szukał metafor dla małego kraju zamieszkiwanego w tych chwilach przez Lukrecję. „Moim królestwem jest łóżko”, zawyrokował. Płukał właśnie i wycierał ręcznikiem dłonie. Obszerny trzyosobowy materac umożliwiał parze wygodne poruszanie się to w jedną, to w drugą stronę, przeciąganie się, nawet turlanie w samoczynnym i radosnym uścisku bez ryzyka upadku na podłogę. Miękki, ale i elastyczny, o mocnych sprężynach, tak znakomicie zniwelowany, iż ciała mogły przesuwac się po nim jakakolwiek ze swych części nie napotykając najmniejszej chropowatości lub przeszkody nastającej na określoną gimnastykę, pozycję, zuchwałość czy rzeźbiarski dowcip w trakcie gier miłosnych. „Opactwo nieumiarkowania – zaimprovizował don Rigoberto w natchnieniu. – Materac-ogród, w którym kwiaty mojej małżonki rozkwitają i rozlewają dla tego śmiertelnego wybrańca woń swych najsekretniejszych esencji”.

W lusterku dojrzał, iż nozdrza zaczęły pulsować niczym dwie zgłodniałe paszcze. „Pozwól mi sobą pooddychać, miłości ma”. Będzie ją obwąchiwać, będzie nią oddychać, od stóp po głowę, starannie, wytrwale, ociągając się przy niektórych częściach o swoistym dla siebie zapachu i nie zatrzymując się zbyt długo nad niektórymi banalnymi; będzie ją skrupulatnie badać nosem i kochać, słysząc niekiedy jej protesty pośród tłumionego śmiechu: „Och, nie,

kochanie, łaskoczesz mnie”. Don Rigoberto ze zniecierpliwienia poczuł lekki zawrót głowy. Ale nie spieszył się z niczym: co nagle, to po diable, rozkosz wymaga żmudnych i umiejętnych przygotowań.

Docierał już do końcowej fazy ceremoniału, gdy do jego nozdrzy dotarł, przedostający się przez okienne framugi i napływający z ogrodu, przenikliwy zapach wiciokrzewu. Zamknął oczy i odetchnął pełną piersią. Odurzającym zapachem była woń tej pnącej rośliny. Potrafiła przez wiele dni trwać zamknięta w sobie, nie uwalniając swego zielonego aromatu, jakby gromadząc go skrzętnie, przydając mocy, by niespodziewanie, w pewnych tajemniczych momentach dnia lub nocy, w zależności od stopnia wilgoci w powietrzu, ruchów księżyca i gwiazd czy niektórych niewidocznych kataklizmów tam, pod spodem, w łonie ziemi, gdzie chroniły się jej korzenie, wyrzucić w świat ową słodkokwaśną niepokojącą woń, nasuwającą myśli o brunetkach z długimi falującymi włosami i o tańcach, podczas których, w nieokiełznanym wirze spódnic, dostrzec można było jedwabiste uda, jędrne pośladki, drobne kostki u nóg i ulotny błędny ognik: gęsty motek wzgórką.

Tak, teraz owszem – don Rigoberto miał w półprzymknięte oczy i było tak, jakby cała energia ulotniła się z reszty jego ciała, by ulokować się w jego organach płciowych i w narządzie powonienia – jego nozdrza wdychały wiciokrzew dońi Lukrecji. I podczas gdy ciepły i gęsty aromat, przywodzący na myśl woń piżma, kadzidla, gotowanej kapusty, anyżku, marynowanej ryby, rozchylających się fiołków, potu niewinnej dziewczynki, unosił się niczym roślinna emanacja lub siarkowa lawa docierając do jego mózgu i rozsadzając go pożądaniem, jego nos, przeobrażony w nadpobudliwy zmysł, mógł teraz również czuć ten umiłowany gąszcz, lepkie muśnięcie szczeliny rozżarzonych warg, łaskotanie wilgotnego runa, którego jedwabiste nici drażniąc nozdrza potęgowały działanie lotnego narkotyku ofiarowywanego przez ciało ukochanej.

Podjmując znaczny wysiłek intelektualny – powtórzyć na głos twierdzenie Pitagorasa – don Rigoberto powstrzymał nieco wzwód, wysuwający już rozkochaną główkę, i polewając ją garściami wody uspokoił i zawrócił, zalęknioną, skuloną, do ustronnego, fałdzistego kokonu. Rozczulony przyjrzał się miękkiemu cylindrowi, który już uładzony, elastyczny, kołysząc się lekko niczym serce dzwonu, przedłużał jego podbrzusze. Po raz kolejny powtórzył sobie, iż miał ogromne szczęście, że jego rodzicom nie przyszło na myśl obrzezanie go: jego napletek był sprawnym wytwórcą jak najrozkoszniejszych wrażeń, on sam zaś był przekonany, że w przypadku

pozbawienia go tej wółprzejrzystej błonki jego miłosne noce byłyby znacznie uboższe i byłaby to, przypuszczalnie, strata równie ogromna jak utrata wężu wskutek rzuconego uroku.

I niespodziewanie przypomniał sobie owych szalonych dziwaków, dla których wdychanie zapachów niezwykłych i uznawanych przez ogół za odrażające stanowiło życiową konieczność, równą – ni mniej, ni więcej – konieczności odżywiania się i picia. Spróbował wyobrazić sobie poetę Fryderyka Schillera łapczywie zanurzającego nozdrza w zgniłych jabłkach, które go inspirowały i pobudzały w twórczości i miłości, tak jak jego, don Rigoberta, erotyczne figurki. Następnie zaś sięgnął pamięcią do bulwersującego prywatnego przepisu eleganckiego historyka Rewolucji Francuskiej, Micheleta – jedną z jego fantazji było obserwowanie swej ukochanej Athéné podczas miesiączkowania – który, gdy opadało go zmęczenie i zniechęcenie, porzucał swój wypełniony rękopisami, pergaminami i kartotekami gabinet, by skrycie, jak złodziej, wymknąć się w stronę podwórzowych latryn. Don Rigoberto ujrzał go oczyma wyobraźni, jak w kamizelce, w surducie, w pantoflach, być może w plastronie, klęczy z namaszczeniem przed miską ekskrementów, wchłaniając z dziecięcą radością cuchnące wyziewy, które dotarłszy do zakamarków jego romantycznego mózgu, przywrócić mu miały entuzjazm i energię, cielesną i duchową świeżość, intelektualny rozmach i szlachetne ideały. „W porównaniu z tymi oryginałami jakież ja jestem normalny”, pomyślał. Nie poczuł się jednak tym przygnębiony ani znacznie od nich gorszy. Szczęście odnalezione przezeń w samotnych praktykach higienicznych i, przede wszystkim, w miłości żony, wydawało mu się dostateczną rekompensatą za ową normalność. Skoro to ma, na cóż mu być bogatym, sławnym, ekstrawaganckim, genialnym? Skromna szarość, jaką jawiło się jego życie oczom postronnych, ta powszednia egzystencja urzędnika towarzystwa ubezpieczeniowego, skrywała coś, czego z pewnością niewielu jemu podobnych mogło zakosztować i czego istnienia w ogóle nie podejrzewano: szczęście możliwe do spełnienia. Przejściowe i tajemne, owszem, może i drobne, ale pewne, namacalne, nocne i żywe. Teraz czuł je wokół siebie niczym aureolę, a za kilka minut on będzie tym szczęściem, i będzie nim również jego żona z nim i ze szczęściem, złączeni w tej przenaiglebszej trójcy obydwójga, dzięki rozkoszy stanowiących jedno lub, lepiej powiedziawszy, troje. Czyżby rozwiązał misterium Trójcy? Uśmiechnął się: bez przesady, palancie. Ot, wyłącznie drobna wiedza służąca umiejętności przeciwstawienia chwilowego środka zaradczego frustracjom i sprzecznościom, jakimi

doprawiona jest egzystencja. Pomyślał: „Wyobraźnia przeżera życie, dzięki Bogu”.

Przekraczając z drżeniem próg sypialni, westchnął.

11

Sjesta

– Powiem ci coś, macocho, o czym na pewno nie wiesz – wykrzyknął Alfonso z migocącym w źrenicach światelkiem. – Na obrazie w salonie jesteś ty.

Twarz miał rozognioną i rozradowaną i oczekiwał, z na wpół łobuzerskim uśmiechem, by odgadła ukryte zamiary w tym, co przed chwilą jej zasugerował.

„Znowu jest dzieckiem”, pomyślała doña Lukrecja w ciepłym kokonie apatii, w jakim się znajdowała, w pół drogi pomiędzy jawą a snem. Jeszcze przed chwilą był małym, niezrażonym niczym, mężczyzną o nieomylnym instynkcie, który dosiada jej niczym najzwinniejszy jeździec. Teraz ponownie był szczęśliwym dzieckiem bawiącym się w zgadywanki ze swą przybraną matką. Nagi klęczał opierając się o jej pięty przy skraju łóżka i nie mogła oprzeć się pokusie, by wyciągnąć rękę i złożyć ją na tym jasnym udzie barwy miodu, pokrytym niedostrzegalnymi niemal i połyskującymi od potu włoskami. „Tak najpewniej wyglądali greccy bogowie – pomyślała. – Amorki z obrazów, paziowie księżniczek, małe dżiny z *Baśni z 1001 nocy* i *spintria* z księgi Swetoniusza”. Zatopiła palce w tym młodym, giętkim ciele i pomyślała odczuwając rozkoszne dreszcze: „Jesteś szczęśliwa jak królowa, Lukrecjo”.

– Przecież w salonie wisi Szyszło – mruknęła niechętnie. – To abstrakcyjny obraz, dzieciaku.

Alfonsito roześmiał się głośno.

– Ale to jesteś ty – powtórzył. I nagle zaczerwienił się po uszy, jakby od nadmiaru słońca. – Odkryłem to dziś rano, macocho. Ale nie powiem ci jak, nawet gdybyś miała mnie zabić.

Ogarnął go kolejny atak śmiechu, po czym rzucił się twarzą na łóżko. Leżał tak jakiś czas, z twarzą zatopioną w poduszce, nie przestając chichotać. „Co też się zagnieździło w tej szalonej główce? – burknęła doña Lukrecja mierzwiąc mu włosy delikatne jak piasek lub talk. – Na pewno jakaś bezwstydną myśl, jeśli się tak zaczerwieniłeś, bandyto”.

Spędzili po raz pierwszy noc razem, wykorzystując jeden z owych nagłych służbowych wyjazdów don Rigoberta. Poprzedniego wieczora doña Lukrecja dała wolne całej służbie, toteż zostali sami w domu. Zjedli razem kolację i czekając na odejście Justyniany i kucharki obejrzelili telewizję, po

czym udali się na górę, do sypialni, i przed zaśnięciem kochali się. Ponownie kochali się po przebudzeniu, niedawno temu, przy pierwszych brzaskach poranka. Za żaluzjami w czekoladowym kolorze szybko wstawał dzień. Słysząc już było ludzki gwar i samochody na ulicy. Niebawem zjawi się służba. Doña Lukrecja, jeszcze senna, przeciągnęła się. Zjedzą obfite śniadanie, z sokami owocowymi i z jajecznicą, W południe ona i Alfonsito pojedą na lotnisko po jej męża. Nigdy dziecku tego nie mówiła, ale oboje dobrze wiedzieli, że don Rigoberto był szczęśliwy, gdy wychodząc z samolotu widział ich oboje machających doń rękami na powitanie, zawsze więc, o ile to było możliwe, sprawiali mu tę przyjemność.

– No więc teraz już wiem, co to znaczy obraz abstrakcyjny – zawyrokował dzieciak nie unosząc głowy znad poduszki. – Świński obraz! Nigdy bym na to nie wpadł, macocho.

Doña Lukrecja przewróciła się na bok i przysunęła do niego. Oparła policzek o jego gładkie, całkowicie pozbawione tłuszczu, lśniące niczym szron plecy, na których, jak miniaturowy łańcuch górski, ledwie zarysowywał się kręgosłup. Zamknęła oczy i uległa wrażeniu, iż słyszy powolny ruch młodej krwi pod tą elastyczną skórą. „Oto życie tętniące, życie żyjące”, pomyślała zachwycona.

Od chwili, kiedy po raz pierwszy kochała się z dzieckiem, wyzbyła się skrupułów i owego poczucia winy, które tak bardzo ją przedtem dręczyło. Miało to miejsce następnego dnia po zdarzeniu z listem i jego samobójczych groźbach. Stało się to tak niespodziewanie, że doña Lukrecji, na wspomnienie wydarzenia, rzecz cała wydawała się czymś niemożliwym, nie przeżyтым, lecz wyśnionym lub przeczytanym. Don Rigoberto zamknął się właśnie w łazience, żeby oddać się nocnym ceremoniom higienicznym, ona zaś, w szlafroku i w nocnej koszuli, zeszła, by Alfonsitowi życzyć dobrej nocy, zgodnie z tym, co mu przyrzekła. Dzieciak wyskoczył łóżka i rzucił się ku niej. Uwieszony szyi macochy, poszukał jej warg i wstydliwie popieścił piersi, oboje zaś wsłuchiwali się, jak ponad ich głowami, niczym tło muzyczne, don Rigoberto fałszując nuci arię z jakiejś zarzueli, z którą współdziałał w kontrapunkcie strumyczek wody z umywalki. I nagle doña Lukrecja poczuła napierającą na jej ciało wojowniczą, męską, obecność. Było to silniejsze od jej poczucia niebezpieczeństwa, nie dający się powstrzymać impuls. Opadła na łóżko i pociągnęła malca za sobą, łagodnie, jakby nie chcąc zrobić mu krzywdy. Rozchyliwszy szlafrok i podciągnawszy koszulę, ułożyła go wygodnie i poprowadziła niecierpliwą dłonią. Poczuła, jak mozoli się, dyszy,

jak ją całuje, rusza się, nieporadny i kruchy niczym uczące się chodzić zwierzątko. Po chwili wydał z siebie końcowy jęk.

Kiedy wróciła do sypialni, wieczorna kąpiel don Rigoberta jeszcze trwała. Serce doñi Lukrecji, w ślepych galopie, biło niczym werble na trwożę. Czuli się przerażona własną zuchwałością i – nie mogła dać temu wiary – pragnęła jak najszybciej znaleźć się w ramionach męża. Jej miłość do don Rigoberta wzmogła się. W jej pamięci majaczyła, rozczulając ją, postać dziecka. Czy to możliwe, że dopiero co kochała się z nim i zaraz miała kochać się z jego ojcem? Tak, tak właśnie było. Nie doznawała najmniejszych wyrzutów sumienia ani zażenowania. Nie uważała również swego postępowania za cyniczne. To było tak, jakby świat posłusznie się jej poddawał. Owładnęło nią niezrozumiałe poczucie dumy. „Tej nocy zaznałem większej rozkoszy niż wczoraj i kiedykolwiek indziej – usłyszała głos don Rigoberta, nieco później. – Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za szczęście, jakim mnie obdarzasz”. – „Ja też nie wiem, kochanie” – wyszeptała drżąc doña Lukrecja.

Od tamtej nocy była przekonana, że potajemne spotkania z dzieckiem w jakiś ciemny i pokrętny, trudny do wyjaśnienia sposób, wzbogacały jej związek małżeński, pogłębiając go i odświeżając. Ale co to za rodzaj moralności, Lukrecjo? – pytała samą siebie z przerażeniem. Jak to możliwe, że mogłaś tak z dnia na dzień się odmienić? Nie potrafiła pojąć tej odmiany, ale też nie starała się rozwikłać zagadki. Wolą poddać się tej pełnej sprzeczności sytuacji, w której czyny stanowiły wyzwanie wobec zasad i ich pogwałcenie – w poszukiwaniu owego intensywnego i niebezpiecznego uniesienia, jakim okazało się dla niej szczęście. Pewnego ranka, otworzywszy oczy, powiedziała sobie: „Zdobyłam niezależność”. Poczuli się szczęśliwa i wolna, choć nie potrafiłaby dokładnie powiedzieć, od czego się uwolniła.

„Być może nie mam wrażenia, że czynię coś złego, bo i Fonsito tak tego nie traktuje – pomyślała muskając ciało dziecka opuszkami palców. – Dla niego jest to zabawa, jeszcze jedna psota. I tym są nasze figle, niczym więcej. Nie jest moim kochankiem. Jak mógłby nim być, w jego wieku?” Kim jest wobec tego? Jej amorkiem, odparła sobie. Jej *spintria*. Był tym dzieckiem, które renesansowi malarze włączali do scen alkwianych, by poprzez kontrast z jego niewinnością, zyskiwały na namiętności zmagania miłosne. „Dzięki tobie Rigoberto i ja kochamy się bardziej, doznajemy większej rozkoszy”, pomyślała całując go w szyję brzegiem ust.

– Mógłbym ci wytłumaczyć, dlaczego ten obraz jest twoim portretem, ale jakoś mi tak głupio – wymamrotał dzieciak, wciąż zagrzebany wśród poduszek. – Chcesz, żebym ci wytłumaczył, macocho?

– Tak, tak, bardzo proszę – doña Lukrecja bacznie przyglądała się krętym żyłkom prześwitującym przez jego skórę jak niebieskie strumyczki. – Jak obraz, na którym nie ma żadnej postaci, tylko figury geometryczne i kolory, może być moim portretem?

Dzieciak uniósł głowę, popatrzył na nią figlarnie.

– Zastanów się, to zobaczysz. Przypomnij sobie, jaki jest ten obraz i jaka ty jesteś. Niemożliwe, żebyś na to nie wpadła. Przecież to takie proste! Zgadnij, a dostaniesz ode mnie coś w nagrodę, macocho.

– Dopiero dziś rano pomyślałaś, że ten obraz jest moim portretem? – zapytała doña Lukrecja, coraz bardziej zaintrygowana.

– Ciepło, ciepło – przyklasnął jej maluch. – Jeszcze trochę i zgadniesz. Och, strasznie się wstydzę, macocho.

Ponownie wybuchł śmiechem i skrył się między prześcieradłami. Na okiennym parapecie zaczął świergotać ptaszek. Była to radosna, przeszywająca pieśń w hołdzie całemu światu i życiu. „Masz rację, że się cieszysz – pomyślała doña Lukrecja. – Świat jest piękny i warto na nim żyć. Tirli, tirli”.

– No więc to jest twój portet sekretny – wyszeptał Alfonsito. Sylabizował słowa, oddzielając je tajemniczymi pauzami, w poszukiwaniu teatralnego efektu. – To jest to, czego nikt nie wie o tobie i nikt w tobie nie widzi. Tylko ja. Aha, i mój tatuś oczywiście. Jeśli teraz tego nie odgadniesz, to nie odgadniesz nigdy, macocho.

Pokazał jej język i zaczął stroić miny, przypatrując jej się uważnie tym swoim niebieskim spojrzeniem, pod którego krystalicznie przejrzystą, niewinną powierzchnią doña Lukrecja dostrzegała czasami coś perwersyjnego, niczym owe bestie z mackami zamieszkujące głębiny rajskich oceanów. Poczula, jak palą ją policzki. Czy to możliwe, że Fonsito insynuuje jej właśnie to, co sama już zaczęła przeczuwać? Albo raczej: czy dzieciak rozumie, co jej przed chwilą zasugerował? Z pewnością tylko częściowo, w jakiś niejasny, instynktowny sposób, którego nie ogarnia swoim rozumem. Czy dzieciństwo jest amalgamatem występku i cnoty, świętości i grzechu? Na próżno próbowała przypomnieć sobie, czy ona sama w odległej przeszłości

była, tak jak Fonsito, czysta i brudna zarazem. Ponownie złożyła policzek na śniadych plecach dziecka. Zazdrościła mu. Och, gdyby można było zawsze zachowywać się z tą zwierzęcą półświadomością, z jaką on ją pieścił i kochał, nie osadzając ani jej, ani siebie! „Mam nadzieję, że nie będziesz cierpieć, kiedy dorośniesz, maluchu”, pomyślała.

– Wydaje mi się, że zgadłam – powiedziała po chwili. – Ale sama nie mam odwagi powiedzieć ci tego, bo rzeczywiście, Fonsiku, jest to świństwo.

– Jasne, że jest – przytaknął dzieciak, zawstydzony. Znowu się zaczerwienił. – Ale, żeby nie wiem co, taka jest prawda, macochu. Taka jesteś i to nie moja wina. Ale czy to ważne, jeśli i tak nikt nie będzie o tym wiedział?

I nagle, w jednej z tych gwałtownych zmian tematu i tonu, kiedy zdawał się przeskakiwać po kilka stopni naraz na schodach swego wieku, dodał:

– Czy już nie pora jechać na lotnisko po tatę? Przykro mu będzie, jak nie przyjedziemy.

To, co zaistniało pomiędzy nimi, nie wpłynęło w najmniejszym stopniu – ona przynajmniej nie dostrzegła tego – na stosunek Alfonsa do don Rigoberta; doñi Lukrecji wydawało się, że dzieciak obdarza ojca wciąż tą samą miłością, jeśli nawet nie większą, sądząc po okazywanej mu czułości. Nie wyglądało również, by doświadczał względem niego najmniejszego choćby zakłopotania czy wyrzutów sumienia. „To wszystko nie może być aż takie proste i przebiegać aż tak dobrze”, stwierdziła w duchu. A jednak do tej pory rzeczywiście wszystko było i proste, i znakomicie się udawało. Jak długo jeszcze potrwa ta harmonijna fantazja? Raz jeszcze powiedziała sobie, że jeśli będzie działać inteligentnie i ostrożnie, nic nie zburzy ziszczonego marzenia, jakim stało się dla niej życie. Poza tym była przekonana, że jeśli owa zagmatwana sytuacja się utrzyma, don Rigoberto najwięcej zyska na jej szczęściu. Ale jak zwykle gdy o tym rozmyślała, jakieś złowrogie przeczucie rzuciło cień na tę utopię: takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach albo w powieściach, moja droga. Bądź realistką: wcześniej czy później to się źle skończy. Rzeczywistość nigdy nie jest tak doskonała jak fikcja, Lukrecjo.

– Nie, mamy jeszcze trochę czasu, kochanie. Samolot z Piury ląduje dopiero za dwie godziny. O ile się nie spóźni.

– To ja sobie jeszcze trochę pośpię, bo strasznie mi się chce spać – ziewnął dzieciak. Przewróciwszy się na bok odszukał ciepło ciała doñi

Lukrecji i złożył głowę na jej ramieniu. W chwilę później, gasnącym głosem, wymruczał: – Myślisz, że jak będę miał świadectwo prymusa na koniec roku, to tatuś mi kupi motor, o który go poprosiłem?

– Oczywiście, że ci kupi – odparła, przytulając go delikatnie i kołysząc jak niemowlę. – A jeśli on ci nie kupi, to ja to zrobię, nie martw się.

Podczas gdy Fonsito spał oddychając miarowo – mogła poczuć, niczym odbijające się w jej ciele echo, równomierne uderzenia jego serca – doña Lukrecja, nie chcąc go zbudzić, leżała nieruchomo, pogrążona w spokojnej drzemce. Jej na wpół rozproszone myśli błądziły wokół różnych obrazów, ale co jakiś czas jeden z nich zyskiwał na sile i przyciągał jej uwagę: obraz z salonu. To, co powiedział chłopiec, niepokoiło ją nieco i przepełniało dziwną obawą, bo wskazywało na istnienie w tej dziecięcej fantazji jakiejś chorobliwej głębi i nieoczekiwanej przenikliwości.

Później, już po śniadaniu, podczas gdy Alfonsito brał prysznic, zeszła do salonu, by przez dłuższy czas przyglądać się obrazowi Szyszly. Jakby go nigdy przedtem nie widziała, jakby obraz, niczym wąż albo motyl, przeistoczył się, przeobraził. „Ten malec to poważna sprawa”, pomyślała zakłopotana. Jakie jeszcze niespodzianki kryją się w tej główce helleńskiego bożka? Tego wieczoru, po odebraniu don Rigoberta z lotniska i wysłuchaniu jego relacji z podróży, rozpakowali i radośnie przyjęli prezenty (przywoził je z każdej podróży): kremy, ciasteczka i dwa słomkowe kapelusze z Catacaos. Następnie zjedli w trójkę kolację, jak szczęśliwa rodzina.

Małżonkowie dość wcześnie udali się do sypialni. Ablucje don Rigoberta trwały krócej niż zazwyczaj. Znalazłszy się w łóżku, spleli się w namiętym uścisku jak po długim rozstaniu (w rzeczywistości nie widzieli się trzy dni i dwie noce). Zawsze tak było od dnia ślubu. Niemniej, gdy po wstępnych harcach w ciemnościach don Rigoberto wyszeptał z nadzieją: „Nie zapytasz mnie, kim jestem?” – tym razem usłyszał odpowiedź łamiącą dotychczasową cichą umowę: „Nie. Teraz ty mnie zapytaj”. Nastąpiła pełna zdumienia pauza jak w mrozącej krew w żyłach scenie filmowej. Ale po paru sekundach don Rigoberto, nawykły do obrządków, zrozumiał i żadny odpowiedzi zaczął indagować: „Kimże jesteś, kim, serce moje?” – „Tą z obrazu w salonie, z tego abstrakcyjnego obrazu” – odpowiedziała. Nastąpiła kolejna pauza i chichot, ni to rozdrażnienia, ni to rozczarowania, a potem długie, pełne napięcia, milczenie. „To nie jest odpowiednia chwila na...” – zaczął ją upominać. „Ja nie żartuję – przerwała doña Lukrecja zamykając mu usta pocałunkiem. – Jestem nią i aż się dziwię, że do tej pory tego nie dostrzegłeś”. „Pomóż mi,

kochanie – ożywił się, poruszony. – Wytłumacz mi to. Chciałbym zrozumieć”. Wyjaśniła mu, a on zrozumiał.

Znacznie później, kiedy, naśmiawszy się i nagadawszy, wyczerpani, szczęśliwi szykowali się do spoczynku, don Rigoberto czule ucałował dłoń żony.

– Jak bardzo się zmieniłaś, Lukrecjo. Teraz nie tylko cię kocham z całej duszy. Również cię podziwiam. Jestem pewien, że dużo się jeszcze od ciebie nauczę.

– Po czterdziestce człowiek uczy się wielu rzeczy – odrzekła sentencjonalnie, tuląc się do niego. – Czasami, Rigobercie, na przykład teraz, wydaje mi się, że rodzę się na nowo. I że nigdy nie umrę.

Osiągnęła niezależność?

12

Labirynt miłości



Fernando de Szyszlo - *Droga do Mendieta 10* (1977), akrylik na płótnie,
kolekcja prywatna

Z początku nie ujrzysz mnie i nie zrozumiesz, ale musisz uzbroić się w cierpliwość i patrzeć. Wytrwale i bez uprzedzeń, z całkowitą swobodą, z głębokim pragnieniem, patrzeć. Puszczając wodze wyobraźni, z przysposobionym orężem miłosnym – a najlepiej już w pełnej gotowości bojowej – patrzeć. Tam wstępuje się niczym nowicjuszką do zakonu klauzurowego, wchodzi się jak kochanek do groty swej umiłowanej: zdecydowanie, bez małostkowego wyrachowania, dając wszystko, nie wymagając niczego i z płynącym z głębi duszy przekonaniem, że to na zawsze. Tylko pod tym warunkiem powierzchnia mrocznych fioletów i zgaszonych różowości zacznie się z wolna poruszać, mienić, nabierać znaczeń i rozpościerać ukazując to, czym jest w rzeczywistości: labiryntem miłości.

Figura geometryczna w głównym paśmie, w samym środku obrazu, owa płaska sylwetka gruboskórego trzynożnego zwierzęcia, to ołtarz, stół ofiarny lub, jeśli masz alergię na religijny symbolizm, teatralna dekoracja. Przed chwilą dokonała się ekscytująca ceremonia, w barwach rozkoszy i okrucieństwa, a to, co widzisz, to pozostałe po niej szczątki i jej rezultaty. Wiem, bo byłam szczęśliwą ofiarą; ale też inspiratorką i aktorką. Owe plamy czerwieni na łapach przedpotopowego stwora to moja krew i twoja tryskająca i stygnąca sperma. Tak, miły mój, to, co spoczywa na kamieniu ofiarnym (lub jeśli wolisz, na prehiszpańskiej dekoracji), ów lepki kształt pokryty amarantowymi ranami i cienutkimi błonami, czarnymi dziurami i ropiejącymi szarością gruczołami, to właśnie ja. Zrozum mnie: ja, widziana od wewnątrz i z dołu, kiedy ty mnie wypalasz i wyciskasz. Ja, wybuchająca, rozlewająca się pod twoim uważnym, rozpustnym spojrzeniem mężczyzny, który umiejętnie odprawił rytuał, a teraz kontempluje i filozofuje.

Bo ty również tam jesteś, najdroższy. Obserwując i niemal dokonując na mnie wiwisekcji oczami, które patrzą, by zobaczyć, i czujnym umysłem alchemika, który wypracowuje błyskotliwe przepisy na rozkosz. Ten z lewej, sterczący w części brązowych lśnień, ten z saraceńskimi półksiężycami na łbie, wystrojony w płaszcz z żywych piór, podobny totemowi, ten w ostrogach, w czerwonym upierzeniu, ten, który obserwuje mnie odwrócony plecami, kim innym mógłby być, jeśli nie tobą? Właśnie wstałeś przeistaczając się w podglądacza. Przed chwilą, ślepy, klęczałeś między moimi udami, rozniecając ogień niczym pokorny i zręczny sługa. Teraz

rozkoszujesz się przypatrując się mej rozkoszy i rozmyślasz. Teraz wiesz, jaka jestem. Teraz chciałbyś rozwiązać mnie za pomocą jakiejś teorii.

Jesteśmy bezwstydni? Raczej całkowici, wolni i ziemscy, bezgranicznie ziemscy. Pozbawiono nas skóry, rozmiękczone kości, odsłonięto nasze trzewia i chrząstki, wydobyto na jaw wszystko, co w czasie odprawionej przez nas mszy lub odegranego przez nas miłosnego przedstawienia, wzrastało, pocilo się i wydzielało soki. Odebrano nam nasze tajemnice, najdroższy. To właśnie ja, niewolniku i panie, twoja ofiara. Rozcięta wzdłuż, niczym turkawka, nożem miłości. Rozszczepiona i pulsująca, ja. Powolna masturbacja, ja. Strużka syropu, ja. Labirynt doznań, ja. Magiczna załóżnia, nasienie, krew i rosa poranna, ja. Oto moja twarz dla ciebie, w godzinę zmysłów. To ja, kiedy dla ciebie zdieram z siebie skórę powszednią i skórę dni świątecznych. To jest być może moja dusza. Twoja z ciebie.

Czas zatrzymał się, oczywiście. Tam się nie zestarzejemy ani nie umrzemy. Będziemy wiecznie doznawać rozkoszy w słabym blasku zmierzchu, który zniewala już noc, oświetleni potrojonym przez nasze upojenie księżycem. Prawdziwym księżycem jest ten w środku, ciemnogniady jak skrzydło kruka; tamte dwa, o barwie zmętniałego wina, to fikcja.

Przestały również istnieć altruistyczne uczucia, metafizyka i historia, bezstronny rozsądek, odruchy dobra i dobre uczynki, solidarność z rodzajem ludzkim, obywatelski idealizm, sympatia do bliźnich; zostały wymazane wszystkie istoty ludzkie, poza tobą i mną. Usunięto wszystko, co mogłoby nas rozpraszać lub nas zubożyć w godzinę najwyższego egoizmu, jakim jest pora miłości.

Owa triadyczna siedziba – trzy nogi, trzy księżyce, trzy przestrzenie, trzy okienka i trzy dominujące kolory – to ojczyzna czystego instynktu i wyobraźni, która służy mu tak, jak twój węzowy język i twoja słodka ślina posłużyły mnie i posłużyły się mną. Straciliśmy nazwisko i imię, twarz i włosy, godziwy wygląd i prawa obywatelskie. Ale zyskaliśmy magię, misterium i rozkosz cielesną. Byliśmy kobietą i mężczyzną, teraz zaś jesteśmy wytryskiem, orgazmem i jedną myślą. Staliśmy się święci i opętani.

Nasze wzajemne poznanie jest całkowite. Ty jesteś mną i sobą, a tobą jestem ja i ty. Czymś tak doskonałym i prostym jak jaskółka albo prawo ciężenia. Rozwiązała perwersja – żeby określić to słowami, w które nie wierzymy i którymi oboje gardzimy – ukazana jest poprzez tych trzech podglądaczy i ekshibicjonistów z lewego górnego rogu. Są naszymi oczami,

kontemplacja, której z takim zapalem się oddajemy, tak jak ty teraz, istotą obnażania się, którego każdy domaga się od partnera podczas święta miłości, i tym amalgamatem, który najadekwatniej wyrazić można jedynie gwałcąc gramatykę: ja ci się mi oddaję, mnie się onanizujesz, wylizsięnas.

Teraz przestań patrzeć. Teraz zamknij oczy. Teraz, nie otwierając ich, przyjrzyj się mnie i przyjrzyj się sobie, tak jak nas przedstawiono na tym obrazie, który tyłu ogląda, a tak niewielu widzi. Teraz już wiesz, że zanim się poznaliśmy, pokochaliśmy i pobraliśmy, ktoś, z pędzlem w ręku, przewidział, w jaką przerażającą chwałę przemieni nas, każdego dnia i każdej jutrzejszej nocy, szczęście, które zdołaliśmy wymyślić.

13

Brzydkie wyrazy

– Macochy nie ma? – zapytał Fonsito rozczarowany.

– Niebawem przyjdzie – odparł don Rigoberto, pospiesznie zamykając *The Nude* sir Kennetha Clarka, którą trzymał na kolanach. Raptownie wracał do Limy, do swego domu, do swojego gabinetu, z wilgotnych kobiecych oparów przepelnionej *Łaźni tureckiej* malarza Ingres'a, w której dotychczas był zanurzony. – Poszła zagrać w brydża ze swoimi przyjaciółkami. Wejdz, wejdz, Fonsito. Porozmawiamy trochę.

Dzieciak potakując uśmiechnął się. Wszedł i przysiadł na skraju dużej angielskiej kanapy obitej oliwkową skórą, pod dwudziestoma trzema, pięknie oprawionymi tomami kolekcji „Les maîtres de Pamour”, kierowanej i opatrywanej słowem wstępnym przez Guillaume'a Apollinaire'a.

– Opowiedz mi o szkole – zachęcił go ojciec, jednocześnie chowając książkę za plecami, by odłożyć ją na oszklony i zamykany na klucz regał, gdzie trzymał swoje erotyczne skarby. – Jak ci idzie? Nie masz kłopotów z angielskim?

Wszystko idzie mu bardzo dobrze, a nauczyciele są cudowni, tatusiu. Rozumie wszystko i prowadzi długie rozmowy po angielsku z ojcem MacKey'em; jest pewny, że w tym roku też zostanie najlepszym uczniem w klasie. I pewnie dostanie świadectwo z wyróżnieniem.

Don Rigoberto uśmiechnął się zadowolony. Zaiste, ten chłopiec sprawia mu jedynie radość. Wzór syna; dobry uczeń, grzeczny, miły. To się nazywa wygrać los na loterii.

– Chcesz coca-coli? – zapytał go. Przed chwilą nalał sobie whisky do szklanki, na dwa palce, i szykował się do wrzucenia kostek lodu. Podał Alfonsowi szklankę z colą i usiadł przy nim. – Muszę ci coś wyznać, syneczku. Jestem z ciebie bardzo zadowolony i możesz liczyć na motor, o który mnie prosiłeś. Otrzymasz go w przyszłym tygodniu.

Dzieciakowi rozbłyły oczy. Szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Dziękuję, tatusiu! – Przytulił się do ojca i pocałował go w policzek. – Cudownie, tatusiu! Marzyłem o tym motorze!

Don Rigoberto śmiejąc się odsunął go od siebie. Delikatnie i czule poprawił mu rozwichrzone włosy.

– To Lukrecji powinieneś być wdzięczny – dodał. – To ona nalegała, żebym jak najszybciej kupił ci motor, nie czekając na wyniki egzaminów.

– Wiem – wykrzyknął malec. – Ona jest dla mnie bardzo dobra. Chyba nawet lepsza od mojej mamusi.

– Twoja macocha po prostu bardzo cię kocha, syneczku.

– Ja też ją bardzo kocham – żywiołowo przytaknął dzieciak. – Jak mogę jej nie kochać, przecież to najlepsza macocha, jaka jest na świecie!

Don Rigoberto łyknął whisky i posmakował: przyjemny płomień przebiegł mu po języku, gardle, teraz zaś spływał między zębami. „Zacna lawa”, zaimprovizował. Po kim taki piękny syn odziedziczył urodę? Jego twarzyczka zdawała się być otoczona promienistą aureolą, tryskając świeżością i zdrowiem. Nie po nim, rzecz jasna. I nie po swojej matce, Heloiza bowiem, aczkolwiek atrakcyjna kobieta i o miłej powierzchowności, nigdy nie była obdarzona ową delikatnością rysów, nie miała również tak jasnych oczu ani podobnie przejrzystej cery czy owych złotych loków. Cherubin, pączek, archanioł z obrazka od pierwszej komunii. Byłoby lepiej dla niego, by nieco zbrzydł, gdy dorośnie: kobiety nie gustują w mężczyznach pięknych jak laleczki.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę z tego, że tak wspaniale ułożyły się wasze stosunki z Lukrecją – dodał po chwili. – Tego najbardziej się obawiałem, gdy się pobieraliśmy, teraz mogę ci się przyznać. Że się nie polubicie, że jej nie zaakceptujesz. Dla nas trojga byłoby to wielkie nieszczęście. Lukrecja również się tego bała, bardzo. Teraz, kiedy widzę, że między wami wszystko układa się dobrze, śmieję się z tych obaw. Tak się kochacie, że czasem nawet jestem zazdrosny, bo wydaje mi się, że twoja macocha kocha cię bardziej niż mnie, a i ty wolisz ją od swego ojca.

Alfonso zaczął śmiać się do rozpuku i klaskać w dłonie, don Rigoberto poszedł w jego ślady, rozbawiony synowskim wybuchem radości. Gdzieś daleko zamiauczał kot. Ulicą przejechał samochód z radiem włączonym na cały regulator i przez parę sekund słychać było trąbki i marakasy jakiejś tropikalnej melodii. Później dobiegł głos podśpiewującej w spiżarni Justyniany, która uruchamiała pralkę.

– Co to znaczy orgazm, tatusiu? – zapytał nagle malec.

Don Rigoberto zaniósł się kaszlem. Pochrzakując zastanawiał się, co ma odpowiedzieć. Postarał się zachować naturalny wyraz twarzy, powstrzymując uśmiech.

– No, cóż, to nie jest żaden brzydki wyraz – wyjaśnił ostrożnie. – Na pewno nie. Odnosi się do życia płciowego, do rozkoszy. Rzec by można, iż jest to kulminacja fizycznej przyjemności. Coś, czego doświadczają nie tylko ludzie, ale i wiele gatunków zwierząt. Na ten temat powiedzą ci coś na lekcjach biologii, tak, niewątpliwie. Przede wszystkim jednak nie powinieneś sądzić, że to jakieś grubiaństwo. A od kogo słyszałeś to słowo, syneczku?

– Od macochy – odparł Fonsito. Z łobuzerskim wyrazem twarzy przytknął palec do ust, jakby prosząc o zachowanie tajemnicy. – Udałem, że wiem, o co chodzi. Tylko jej nie mów, że to ty mi wytłumaczyłeś, tatusiu.

– Nie, nic jej nie powiem – mruknął don Rigoberto. Jeszcze raz łyknął whisky i zaintrygowany przyjrzał się badawczo synowi. Co też się kłębi w tej jasnej główce, pod tym jasnym czółkiem? Bądź tu mądry. Czyż nie twierdzi się, że dziecięca dusza to niezgłębiona studnia? Pomyślał: „Nie powinienem wypytywać o nic więcej”. Pomyślał: „Powiniennem zmienić temat rozmowy”. Ale niezdrowa ciekawość albo instynktowne przeczucie niebezpieczeństwa okazały się silniejsze i, jakby od niechcienia, zapytał: – Usłyszałeś to słowo od macochy? Jesteś pewien?

Dzieciak wielokrotnie przytaknął, zachowując wciąż ten sam na pół rozbawiony, na pół łobuzerski, wyraz twarzy. Miał zarumienione policzki, a jego oczy błyszczały uroczo, pełne wdzięku.

– Powiedziała mi, że miała cudowny orgazm – wyjaśnił śpiewnym głosem słowika.

Tym razem whisky wyślizgnęło się z rąk don Rigoberto; sparaliżowany niespodzianką przyglądał się bezwolnie szklance toczącej się po ołowiano szarych arabeskach dywanu. Dzieciak rzucił się, by ją podnieść. Podał ją ojcu, mruczac:

– Całe szczęście, że była prawie pusta. Nalać ci jeszcze, tatusiu? Ja już wiem, jaką lubisz, widziałem, jak macocha ją robi.

Don Rigoberto odmówił kręcąc głową. Dobrze słyszał? Tak, bez wątplenia: po to miał duże uszy. Żeby wszystko dobrze słyszeć. Mózg zaczął w nim buzować jak ogień. Ta rozmowa zaszła za daleko i należało uciąć ją z miejsca i na zawsze, w imię bliżej nie określonych, ale na swój sposób

świętych zasad. Przez chwilę nawiedziła go wizja rozpadającego się pięknego zamku z kart. Miał całkowitą jasność co do tego, jak powinien postąpić. Dosyć, koniec, pomówmy o czymś innym. Ale i tym razem syreni śpiew prowadzący ku piekielnym czeluściom okazał się silniejszy od jego rozsądku i przezorności.

– A cóż to za wymysły, Fonsiu – wypowiadał słowa bardzo powoli, ale i tak nie był w stanie powstrzymać drżenia głosu. – Jak mogłeś coś takiego usłyszeć? To niemożliwe, syneczku.

Dzieciak, wyciągnawszy dłoń ku górze, zaprotestował gniewnie.

– Oczywiście, że możliwe, tatusiu. I na pewno słyszałem, jak to mówiła. Bo mnie samemu tak powiedziała. I to akurat wczoraj po południu. Słowo ci daję. Dlaczego miałbym kłamać? Czy ja cię kiedykolwiek okłamałem?

– Nie, nie, masz rację. Ty zawsze mówisz prawdę.

Nie był w stanie zapanować nad konsternacją, która nim owładnęła jak gorączka. Niepokój był jak głupi giez, który obijał się o jego twarz, ramiona, a on nie potrafił ani go strącić, ani odpędzić. Wstał i powoli poszedł nalać sobie jeszcze jedną whisky, rzecz niespotykana, nigdy przed kolacją nie pił więcej niż jeden kieliszek. Kiedy wrócił na kanapę, napotkał niebieskozielone oczy Fonsita: śledziły jego ruchy po gabinecie z tą samą co zwykle słodyczą. Uśmiechnęły się doń, on zaś, nie bez wysiłku, również odpowiedział uśmiechem.

„Hm, hm”, odchrząknął don Rigoberto po kilkunastu sekundach złowieszczej ciszy. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Czy to możliwe, aby Lukrecja czyniła dziecku tego rodzaju wyznania, by mówiła dzieciakowi, co we dwoje robili po nocach? Ależ bzdura, oczywiście, że to niemożliwe. To wymysły Fonsita, typowe dla dzieciaka w tym wieku: odkrywał przewrotność, budziła się w nim ciekawość seksualna, rodząca się libido podsuwała mu różne pomysły, by sprowokować rozmowy na temat fascynującego tabu. Najlepiej zapomnieć o wszystkim i zatrzeć przykre wrażenie innymi pytaniami.

– Nie masz lekcji do odrobienia na jutro? – zapytał.

– Już odrobiłem – odparł dzieciak. – Miałem tylko napisać wypracowanie. Na dowolny temat.

– Ach, tak? – don Rigoberto trwał przy swoim.

– A o czym pisałeś?

Twarz dziecka ponownie rozgorzała najszczerzą radością, a don Rigobertem zawładnął nagle zwierzęcy strach. Co tu się dzieje? Co się jeszcze miało zdarzyć?

– O niej, oczywiście, tatusiu, a o kim miałbym pisać? – klaskał w ręce Fonsito. – I wymyśliłem taki tytuł: „Pochwała macochy”. Jak ci się podoba?

– Bardzo, to dobry tytuł – odrzekł don Rigoberto. I niemal bez zastanowienia, śmiejąc się obłudnie, dodał: – To wygląda jak tytuł powiastki erotycznej.

– Co to znaczy erotycznej? – zapytał chłopiec z nieudawaną powagą.

– Dotyczącej miłości cielesnej – objaśnił don Rigoberto. Pił małymi łydkami, nie uświadamiając sobie tego. – Pewne słowa, jak to na przykład, uzyskują swoje znaczenie z czasem, dzięki doświadczeniu, i to jest ważniejsze od jakiegokolwiek definicji. To wszystko nastąpi krok po kroku; nie ma powodu, żebyś się spieszył, Fonsito.

– Jak sobie życzysz, tatusiu – zgodził się mały, zamykając i otwierając oczy: jego długie rzęsy rzucały fioletowawy cień na powieki.

– Z przyjemnością przeczytałbym twoją „Pochwałę macochy”, wiesz?

– Jasne, tatusiu – ucieszył się dzieciak. Jednym skokiem zerwał się i wybiegł. – I może jeszcze poprawisz mi błędy.

W ciągu kilku minut, kiedy czekał na powrót syna, don Rigoberto poczuł, że jego niepokojące złe samopoczucie pogłębia się. Może za dużo whisky? Ależ skądże, co za pomysł. Czy ten ucisk w skroniach oznacza, że jest chory? W biurze sporo osób chorowało właśnie na grypę. Nie, to nie to. Co, wobec tego? Wspomniiał owo zdanie Fausta, które za młodu tak bardzo nim poruszyło: „Tego kocham, kto dąży ku nieziszczalnemu”. Chciał, aby stało się to jego życiową dewizą, i do pewnego stopnia, aczkolwiek w sposób zatajony, mniemał, iż udało mu się osiągnąć ów ideał. Dlaczego więc teraz opanowywało go straszliwe przeczucie, że przed nim otwiera się bezdenna przepaść? Cóż to za niebezpieczeństwo mu grozi? Jak? Gdzie? Pomyślał: „Jest rzeczą absolutnie niemożliwą, by Fonsito usłyszał, jak Lukrecja mówi: Miałam cudowny orgazm”. Nagle zachciało mu się śmiać i zaśmiał się, ale bez cienia radości, z żalonym grymasem odwzajemnionym mu przez szybę rozpustnej biblioteczki. Alfonso już wrócił, w rękę trzymał zeszyt. Podał mu go bez słowa, patrząc mu prosto w oczy, tym niebieskim, tak łagodnym i

czystym spojrzeniem, które, jak mawiała Lukrecja, „sprawiało, że człowiek czuje się przy nim brudny”.

Don Rigoberto nałożył okulary i zapalił stojącą lampę. Zaczął odczytywać na głos wykaligrafowane czarnym atramentem słowa, ale w połowie pierwszego zdania zaniemówił. Dalej czytał w milczeniu, poruszając nieznacznie wargami i raz po raz mrugając powiekami. Nagle jego usta znieruchomiały. Zaczęły się rozwierać, zwisać, nadając jego twarzy wyraz tępej głupoty. Spośród zębów wypłynęła mu niteczka śliny brudząc klapy marynarki, ale on zdawał się nie zauważać tego, bo nawet ich nie wytarł. Oczy poruszały mu się z lewa na prawo, czasem szybko, czasem powoli; chwilami cofał się, jakby nie do końca rozumiał albo jakby nie mógł zgodzić się z tym, iż to, co przed chwilą przeczytał, rzeczywiście zostało tam napisane. Ani razu w trakcie powolnego, trwającego bez końca czytania, don Rigoberto nie oderwał wzroku od zeszytu, aby spojrzeć na malca, który, niewątpliwie, wciąż siedział w tym samym miejscu, śledząc każdą jego reakcję, czekając, aż ojciec skończy lekturę i powie, i zrobi to, co powiedzieć i zrobić powinien. A co powinien powiedzieć? Co powinien zrobić? Don Rigoberto poczuł, że ma ręce zlane potem. Kilka kropelek potu stoczyło się z jego czoła na zeszyt rozpuszczając atrament i rozlewając się w bezkształtne plamy. Przełykając ślinę zdołał pomyśleć: „Kochanie nieziszczalnego ma swoją cenę, którą wcześniej czy później trzeba zapłacić”.

Dokonał najwyższego wysiłku i zamknął zeszyt; potem popatrzył. Tak, Fonsito siedział tu i przyglądał mu się, zwracając ku niemu swą piękną twarzą anioła. „Tak pewnie wyglądał Lucyfer”, pomyślał, unosząc do ust pustą szklanę, żeby jeszcze raz się napić. Dzwonienie szkła o zęby uświadomiło mu, jak bardzo drży mu ręka.

– Alfonso, co to wszystko znaczy? – wybełkotał. Bolały go zęby, język, szczęka. Nie poznawał własnego głosu.

– A co takiego, tatusiu?

Patrzył nań, jakby nie rozumiał, co się z nim dzieje.

– Co znaczą te wszystkie... fantazje – wyjąkał z głębi przerażającego zamętu torturującego jego duszę. – Syneczku, czyś ty oszalał? Jak mogłeś zmyślić takie brudne nieprzyzwoitości?

Zamilkł, bo nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, ponadto czuł się zły na siebie i zaskoczony tym, co powiedział. Twarzyczka chłopca posmutniała i

przygasła. Patrzył na ojca nic nie rozumiejąc, z odrobiną bólu, trochę zmieszany, ale bez cienia strachu. Wreszcie, po paru chwilach, don Rigoberto usłyszał to, czego w samym środku złodowaczego przerażeniem serca właśnie odeń oczekiwał:

– Ja niczego, tatusiu, nie zmyśliłem. Wszystko, co napisałem, to najprawdziwsza prawda, tak było naprawdę.

I jednocześnie, w tej samej sekundzie, w chwili, która, jak sobie wyobraził, musiała zostać z góry ustalona fatalnym zrzędzeniem losu lub bogów, don Rigoberto usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe, i do jego uszu dotarł śpiewny głos Lukrecji witającej się z majordomusem. Ledwie zdołał pomyśleć, że bogaty i oryginalny nocny świat snów i swobodnych pragnień, wzniesiony przezeń z takim uporem, właśnie prysnął jak bańka mydlana. I nagle jego sponiewierana wyobraźnia rozpaczliwie zapragnęła metamorfozy: oto jest istotą samotną, czystą, pozbawioną jakichkolwiek pragnień, wolną od wszystkich demonów ciała i seksu. Tak, tak, to właśnie on. Anachoreta, asceta, mnich, anioł, archanioł, który dmie w trąbę niebiańską i spływa w ogród, by zanieść dobrą nowinę pannom świętym.

– Witam, witam, obu moich kawalerów – zaświergotała w progu gabinetu doña Lukrecja.

Śnieżnobiała dłoń posłała ojcu i synowi kilka ulotnych pocałunków.

14

Różowy młodzieniec



Fra Angelico - *Zwiastowanie* (ok. 1437), fresk, Florencja, klasztor San Marco

Upał południa zmorzył mnie i nie spostrzegłam jego przybycia. Ale otworzyłam oczy i już tu był, u moich stóp, pośród różanego światła. Był tam, zaprawdę? Tak, nie przyśnił mi się. Widocznie przedostał się tylną, nie domkniętą przez mych rodziców furta albo przeskoczył mur ogrodowy, mur, który lada jaki młodzieniec pokonuje bez zbytniego trudu.

Któż to był? Nie wiem, ale, tego jestem pewna, przebywał tu, w tejże sieni, klęcząc u moich stóp. Widziałam go i słyszałam. Przed chwilą odszedł. A może powinnam rzec raczej, że się rozplątał? Tak: klęcząc u moich stóp. Nie wiem, dlaczego ukląkł, ale nie było jego zamiarem dworowanie sobie ze mnie. Od samego początku odnosił się do mnie z takim poważaniem i słodyczą i okazał tyle szacunku i pokory, że trwoga, która z początku mnie ogarnęła na widok kogoś obcego, tak blisko mnie, rozwiała się niczym mgła w promieniach słońca. Jak to możliwe, że nie czułam bojaźni przebywając sam na sam z nieznanym? Z kimś, kto ponadto wtargnął, nie wiadomo jak, do mojego ogrodu? Nie pojmuję. Ale przez cały czas swego tutaj pobytu, kiedy młodzieniec zwracał się do mnie z szacunkiem należnym czcigodnym niewiastom, a nie mnie, skromnej dziewczynie, czułam się znacznie bardziej bezpieczna niż przy rodzicach czy w sobotę w Świątyni.

Jakiż on był urodziwy! Nie godzi mi się mówić tego, ale prawdą jest, iż nigdy przedtem nie widziałam istoty tak pełnej harmonii i łagodnej, o tak doskonałych kształtach i tak miłym głosie. Ledwie mogłam mu się przyjrzeć; za każdym razem, gdy moje oczy spoczywały na jego gładkich policzkach, na czystym czole lub długich rzęsach jego ogromnych, pełnych dobroci i mądrości oczu, na mej twarzy czułam ciepło brzasku. Czy właśnie to, zwielokrotnione do całego ciała, odczuwają dziewczęta, gdy się zakochują? Ów żar, co nie pochodzi z zewnątrz, lecz z wnętrza ciała, z głębi serca? Moje przyjaciółki z wioski często o tym mówią, wiem o tym, ale kiedy się przybliżam, milkną natychmiast, bo wiedzą, że jestem nader wstydliva i że pewne tematy – jak właśnie miłość – onieśmielają mnie do tego stopnia, iż twarz moja pąsowieje, a ja zaczynam się jąkać. Czy to źle? Esther powiada, że przez swoją wstydlivość i bojaźń nigdy się nie dowiem, czym jest miłość. A Deborah zawsze usiłuje mnie zachęcić: „Musisz zdobyć się na większą śmiałość, inaczej twoje życie będzie smutne”.

Ale różowy młodzieniec mówił, że ja jestem tą wybraną, że spośród wszystkich kobiet mnie właśnie wskazano. Kto? Na co? Dlaczego? Cóż

takiego uczyniłam, dobrego lub złego, aby ktoś mnie właśnie wolał? Bardzo dobrze wiem, jak niewiele jestem warta. W wiosce są dziewczęta i ładniejsze, i gospodarniejsze, silniejsze, mądrzejsze i odważniejsze. Dlaczego właśnie ja miałabym zostać wybrana? Bom najskrytsza i najbojaźliwsza? Bom najcierpliwsza? Bo z wszystkimi żyję w zgodzie? A może z uwagi na czułość, z jaką doję naszą kózkę, i radość, jaką sprawiają mi proste, powszednie zajęcia, jak sprzątnięcie domu, podlanie ogrodu, przygotowanie stawy dla rodziców? Nie sędzę, bym posiadała więcej zalet, o ile są to zalety, żadnej zaś wady. Deborah powiedziała mi onegdaj: „Nie masz żadnych pragnień, Mario”. Być może ma rację. Cóż mogę począć, jeśli już taka się urodziłam: lubię życie, a świat wydaje mi się piękny takim, jaki jest. Pewnie dlatego powiadają, że jestem prostą dziewczyną. Niewątpliwie jestem zwykłą dziewczyną, bo zawsze unikałam komplikacji. Ale pewne pragnienia nie są mi obce. Chciałabym, żeby nasza kózka nigdy nie umarła, na przykład. Kiedy liże mi rękę, myślę, że pewnego dnia umrze, i wówczas serce mi się ściska. Niedobrze jest cierpieć. Chciałabym też, żeby nikt nie cierpiał.

Młodzieniec mówił różne nedorzeczności, ale w sposób tak melodyjny i tak niewinnym tonem, że nie śmiałam nawet zachichotać. Że będę błogosławiona, ja i owoc żywota mego. Tak mówił. Może był to mag? Czy używając tych słów wypowiadał jakieś zaklęcie na rzecz kogoś lub czegoś albo przeciwko komuś lub czemuś? Nie potrafiłam go zapytać. Usłyszawszy jego słowa zdołałam jedynie wyjąkać to, co zazwyczaj odpowiadam, kiedy rodzice pouczają mnie lub strofują: „Dobrze, panie, uczynię, co mi się godzi uczynić”. I wystraszona przysłoniłam brzuch. Czy „owoc żywota mego” oznacza, że będę miała dziecko? Jakaż byłabym szczęśliwa. I oby był mężczyzną równie słodkim i tajemniczym jak ów młodzieniec, który mnie odwiedził.

Nie wiem, czy mam się radować, czy smucić tymi odwiedzinami. Przeczuję, że począwszy od tej chwili odmieni się całe moje życie. W jaki sposób? Dla mego dobra czy na me nieszczęście? Dlaczego pośród radości, jakiej doznaję na wspomnienie miłych słów młodzieńca, ogarnia mnie nagle trwoga, jakby niespodziewanie ziemia się rozstała otwierając u stóp moich czeluść najeżoną przerażającymi potworami, w którą ktoś każe mi skoczyć.

Ładne rzeczy mówił, pięknie brzmiące, ale trudne do zrozumienia. „Nadzwyczajne przeznaczenie, nadprzyrodzone przeznaczenie” między innymi. Co miał na myśli? Do mojego sposobu bycia pasują raczej rzeczy najzwyklejsze i normalne. To wszystko, co się wyróżnia lub wybija, jakikol-

wiek gest albo czynność, które łamią przyjęty zwyczaj czy normalne postępowanie, poraża mnie i czyni bezbroną. Jeśli ktoś w mej obecności przebiera miarę i błaznuje, twarz mi płonie i cierpię przezeń. Czuję się swobodna tylko wtedy, gdy spostrzegam, że inni mnie nie zauważają. „Maria jest tak cicha, że wydaje się niewidzialna”, przekomarza się ze mną Rachela, moja sąsiadka. Lubię, jak tak mówi. Bo to prawda: być nie zauważoną to dla mnie być szczęśliwą.

Ale to nie oznacza, bym pozbawiona była uczuć i marzeń. Tyle tylko, że nigdy nie pociągały mnie nadzwyczajności. Zawsze zdumiewa mnie, jak słucham, co mówią moje przyjaciółki: chciałyby podróżować, mieć wielu poddanych, poślubić króla. Mnie takie fantazje zawstydzają. Cóż bym robiła na obcej ziemi, pośród odmiennych ludzi, słuchając obcych języków? A jakąż byłabym żalosną królową, ja, co tracę głos i zaczynają mi drżeć ręce, kiedy mam się odezwać w towarzystwie nieznanego. Od życia pragnę jedynie prawego męża, zdrowych synów i spokoju, bez głodu i strachu. Cóż chciał rzec młodzieniec napomykając o „przeznaczeniu nadzwyczajnym, nadprzyrodzonym”? Moja wstydlivość nie pozwoliła mi udzielić mu takiej odpowiedzi, jaką winnam była dać: „Ja nie jestem przygotowana na to, ja nie jestem tą, o której raczycie mówić, panie. Proszę udać się raczej do pięknej Deborah, albo do Judyty, co taka jest rezolutna, lub do domu mądrej Racheli. Jak możecie, panie, oznajmiać mi, że będę królową panującą nad ludźmi? Jak możecie powiadać, że modlić się do mnie będą we wszystkich językach, a imię moje trwać będzie wieki niczym gwiazdy na niebie? Pomyliliście się, panie, co do dziewczyny i domu. Jam jest zbyt nikła na takie wielkości. Mnie prawie nie ma”.

Młodzieniec, zanim odszedł, schylił się i ucałował rąbek mej sukni. Przez sekundę widziałam jego plecy: rozpościerała się nad nimi tęcza, jakby spoczęły tam skrzydła motyla.

Odszedł już i pozostawił mnie z głową pełną wątpliwości. Dlaczego mówił do mnie „pani”, jeśli nie jestem jeszcze mężatką? Dlaczego nazwał mnie królową? Dlaczego dostrzegłam w jego oczach lśnienie łez, kiedy przepowiedział mi, że będę cierpieć? Dlaczego nazwał mnie matką, jeśli jestem jeszcze dziewczycą? Co też się dzieje? Co się ze mną stanie po tych odwiedzinach?

Epilog

– Nigdy nie masz wyrzutów sumienia, Fonsito? – zapytała znienacka Justyniana. Zbierała i składała na krześle poszczególne części dziecięcej garderoby, którą dzieciak zdejmował z siebie, a potem rzucał w jej stronę udając koszykarza.

– Wyrzuty sumienia? – zdziwił się krystalicznie czysty głosik. – A czemu, Justysiu?

Przykucnięta, żeby podnieść parę skarpetek w zielone i granatowe romby, podejrziała go w lustrze komody: Alfonso siadł właśnie na skraju łóżka i, to kurcząc, to prostując nogi, wkładał spodnie od piżamy. Widziała jego białe, szczupłe nogi o zaróżowionych stopach, poruszał dziesięcioma palcami, jakby wykonywał jakieś ćwiczenia gimnastyczne. Wreszcie jej spojrzenie napotkało wzrok chłopca, który natychmiast uśmiechnął się do niej.

– Nie udawaj niewiniątka, Fonsiu – powiedziała wstając. Otarła ręce o biodra i westchnęła ze zdumieniem przypatrując się dziecku. Czowała, że po raz kolejny ogarnia ją wściekłość. – Ja to nie ona. Mnie tą miną niebożątka ani nie kupisz, ani nie oszukasz. Powiedz mi wreszcie prawdę. Nie masz wyrzutów sumienia? Ani trochę?

Alfonso, rozrzucając ramiona, parsknął śmiechem i rzucił się na wznak na łóżko. Zaczął machać wysoko uniesionymi nogami, wykopując i przyjmując wyimaginowaną piłkę. Śmiał się głośno i ostentacyjnie, a Justyniana nie odczuła w jego śmiechu cienia kpiny czy złośliwości. „Psiakrew – pomyślała – kto jest w stanie zrozumieć tego smarkacza?”

– Przysięgam na Boga, że nie wiem, o czym mówisz – wykrzyknął dzieciak siadając. Z przekonaniem pocałował skrzyżowane palce. – A może to jakaś zagadka, Justysiu?

– Włóż do łóżka, bo jeszcze się przeziębisz. Nie mam ochoty cię pielęgnować.

Alfonso natychmiast posłuchał. Skoczył, uniósł koldrę, zręcznie wśliznął się pod nią i poprawił sobie poduszkę pod plecami. Następnie skierował na dziewczynę powłóczyście, przymilne spojrzenie, jakby miał zaraz otrzymać nagrodę. Włosy opadały mu na czoło, a jego duże, niebieskie oczy błyszczały w półmroku odbijającym się na jego policzkach światłem nocnej lampki. W rozchylonych ustach, o niemal niewidocznych wargach, widniał śnieżnobiały rząd przed chwilą umytych zębów.

– Mówię o doñi Lukrecji, ty diable wcielony, i bardzo dobrze o tym wiesz, więc nie udawaj – powiedziała. – Nie przykro ci po tym, co jej zrobiłeś?

– Ach, to o nią chodzi – wykrzyknął dzieciak jakby rozczarowany tym banalnym i nieciekawym pytaniem. Wzruszył ramionami i, bez chwili wahania, dodał: – Dlaczego miałyby mi być przykro? Gdyby to chodziło o moją mamusię, to jasne, że tak. Ale to nie była moja mama, prawda?

Kiedy mówił o niej, w jego głosie ani w sposobie wyrażania się nie było urazy czy wściekłości. Ale właśnie ta obojętność wyprowadzała Justynianę z równowagi.

– Doprowadziłeś do tego, że twój tata wyrzucił ją z domu jak psa – wyszeptała przygaszona i smutna, nie zwracając ku niemu głowy, z oczami utkwionymi w wypolerowany parkiet. – Najpierw okłamałeś ją, a potem ojca. Z twojego powodu rozstali się, i to kiedy byli tak szczęśliwi. Z twojej winy ona jest pewnie teraz najbardziej nieszczęśliwą kobietą na świecie. A i don Rigoberto jest nieszczęśliwy, bo od czasu, kiedy rozstał się z twoją macochą, wygląda jak pokutująca dusza. Nie widzisz, jak się postarzał w ciągu tych kilku dni? Nie gryzie cię sumienie z tego powodu? I stał się takim dewotem i nabożnisiem, że aż strach. Mężczyźni stają się tacy, kiedy czują, że niedługo umrą. A to wszystko przez ciebie, bandyto!

Odwróciła się ku dziecku, wylękniona, w strachu, że powiedziała więcej, niż powinna. Od ostatnich wydarzeń niczemu już i nikomu tutaj nie dowierzała. Główka Fonsita wysunęła się ku niej, a złotawy snop światła padający z lampki otaczał ją jak korona. Jego zdziwienie wydawało się nie mieć granic.

– Przecież ja nic nie zrobiłem, Justysiu – wyjąkał, trzepocząc rzesami, ona zaś dostrzegła, jak jabłko Adama opada i unosi się na jego szyi niby przerażone zwierzątko. – Ja nigdy nie oszukałem nikogo, a tym bardziej tatusia.

Justyniana poczuła, że twarz jej płonie.

– Wszystkich oszukałeś – podniosła głos. Ale zamilkła natychmiast, zakrywając sobie usta, w tej samej bowiem chwili z góry dobiegł szum spływającej z umywalki wody. Don Rigoberto rozpoczął swoje nocne ablucje, które z chwilą odejścia dońi Lukrecji trwały znacznie krócej. Obecnie kładł się zawsze wcześniej i już nie rozbrzmiewał jego głos nucący w łazience arie z zarzueli. Kiedy Justyniana odezwała się ponownie, ściszyła głos i pogroziła dziecku palcem. – I mnie też oszukałeś. Kiedy pomyślę, jak nabrałam się na tę bajeczkę, że się zabijesz, bo doña Lukrecja cię nie kocha!

Teraz z kolei twarz dziecka zapłonęła oburzeniem.

– Nie oszukałem cię – powiedział szarpiąc ją za ramię. – To była prawda, naprawdę chciałem to zrobić. Gdyby moja macocha nadal mnie traktowała tak jak wtedy, to bym się zabił. Przysięgam ci, Justysiu!

Dziewczyna wyrwała mu się szorstko i odsunęła się od łóżka.

– Nie przysięgaj fałszywie, bo cię Pan Bóg skarże – powiedziała cicho.

Podeszła do okna i zsuwając zasłony dostrzegła na niebie kilkanaście gwiazd. Zapatrzyła się w nie, zaskoczona. To dziwne uczucie – tak niespodziewanie zobaczyć migocące światełka zamiast codziennej, jak zwykle, mgły. Kiedy odwróciła się, chłopiec właśnie wziął książkę spod lampki i, oparty wygodnie na poduszce, zabierał się do czytania. Już był znowu spokojny i zadowolony, wydawał się pogodzony z własnym sumieniem i ze światem.

– Przynajmniej powiedz mi jedno, Fonsito.

Z góry dochodził miarowy, niezmienny szum płynącej wody, na dachu zaś miauczały dwa walczące albo parzące się koty.

– A co, Justysiu?

– Zaplanowałeś wszystko od samego początku? Cała ta pantomima, że tak bardzo ją kochasz, to wdrapywanie się na dach, żeby ją podglądać, kiedy się kąpała, list z groźbami, że się zabijesz. To wszystko było na niby? Tylko po to, żeby ona cię kochała, a potem żeby polecieć do tatusia i oskarżyć ją, że ona cię deprawuje?

Dzieciak odłożył książkę na stolik, ołówkiem zaznaczając stronę. Grymas obrazy wykrzywił jego twarzyczkę.

– Nigdy nie powiedziałem, że ona mnie deprawuje, Justysiu! – wykrzyknął oburzony, wymachując ręką. – To ty sobie to wszystko wymyślasz, nie wmawiaj mi. To mój tata powiedział, że ona mnie deprawuje. Ja tylko napisałem wypracowanie o tym, co robiliśmy. To znaczy prawdę. Niczego nie wymyśliłem. To nie moja wina, że tata ją wyrzucił. A może on ma rację? A może ona rzeczywiście mnie deprawowała? Jeśli mój tata tak powiedział, to tak widać było. Dlaczego tak bardzo się tym przejmujesz? Wolałabyś pójść sobie z nią, niż zostać u nas w domu?

Justyniana oparła się plecami o regał, na którym Alfonso trzymał swoje książki przygodowe, proporczyki, dyplomy i zdjęcia szkolne. Przymknęła oczy i pomyślała: „Już dawno powinnam była sobie pójść, to prawda”. Od czasu odejścia doñi Lukrecji dręczyło ją przeświadczenie, że i jej grozi w tym domu niebezpieczeństwo, żyła więc jak na rozżarzonych węglach, czując nieustannie, że jeśli zapomni się choćby na chwilę, to również wpadnie w pułapkę i wyjdzie na tym znacznie gorzej niż macocha Fonsita. Bezpośredni atak na chłopca był wielką nieostrożnością. Nigdy więcej już tego nie zrobi, bo Fonsito, choć miał tyle lat, ile miał, nie był już dzieckiem: był większym spryciarzem i krętaczem niż wszyscy znani jej dorośli razem wzięci. A mimo to, mimo to patrząc na tę słodką twarzączkę, te rysy laleczki, kto by dał wiarę.

– Gniewasz się na mnie? – usłyszała jego przygnębiony głos.

Lepiej go więcej nie prowokować; lepiej zawrzeć pokój.

– Nie, nie gniewam się – odparła kierując się w stronę drzwi. – Nie czytaj za długo, bo jutro musisz iść do szkoły. Dobrej nocy.

– Justysiu.

Trzymając już rękę na klamce odwróciła się, by spojrzeć na niego.

– Czego chcesz?

– Nie gniewaj się na mnie, bardzo cię proszę. – Błagał ją oczyma i długimi, trzepoczącymi rzesami; zaklinał usteczkami wygiętymi w podkówkę i pulsującymi w policzkach dołeczkami. – Ja cię bardzo kocham. Ale za to ty mnie nienawidzisz, prawda Justysiu?

Mówił, jakby miał zaraz się rozplakać.

– Głuptasie, wcale cię nie nienawidzę, jakże mogłabym cię nienawidzić?

Na górze woda wciąż płynęła z jednostajnym bulgotem przerywanym jedynie krótkotrwałymi spazmami, dało się również słyszeć od czasu do czasu kroki don Rigoberta chodzącego z kąta w kąt po łazience.

– Jeśli to prawda, że mnie nie nienawidzisz, to pocałuj mnie przynajmniej na dobranoc. Tak jak kiedyś, zapomniałaś już?

Zawahała się przez chwilę, ale przystała. Podeszła do łóżka, pochyliła się i szybko pocałowała go we włosy. Ale malec przytrzymał ją, zarzucając jej rączki na szyję i mizdrząc się i łasząc, dopóki Justyniana, wbrew sobie, nie uśmiechnęła się. Gdy tak pokazywał jej język, przewracał oczyma, kręcił główką, unosił i opuszczał ramiona, nie wydawał jej się okrutnym, wyrachowanym diablątkiem, które miał w sobie, a tylko ślicznym maluchem, na jakiego wyglądał.

– No, przestań już pajacować, trzeba spać.

Jeszcze raz pocałowała go w główkę i westchnęła. I chociaż przed chwilą przyrzekła sobie, że już więcej mu o tym nie wspomni, nagle, przyglądając się złotym źdźbłom, które muskały jej nozdrza, usłyszała własny nie znoszący sprzeciwu głos:

– Zrobiłeś to wszystko ze względu na doinę Heloizę? Bo nie chciałeś, żeby ktokolwiek zastąpił twoją mamusię? Bo nie mogłeś ścierpieć, że doña Lukrecja może zająć jej miejsce w tym domu?

Poczuła, że dzieciak sztywnieje i milknie, jakby zastanawiając się, co ma odpowiedzieć. Później obejmujące jej szyję rączki zacisnęły się mocniej, żeby zmusić ją do schylenia głowy, tak aby wąskie usteczka mogły przybliżyć się do jej ucha. Ale zamiast wyszeptać jej swój sekret – a to miała nadzieję usłyszeć – nagle ugryzł ją lekko w ucho, potem zaczął laskotać pocałunkami jej szyję.

– Dla ciebie to zrobiłem, Justysiu – mruknął z aksamitny czułością – a nie dla mamy. Żeby sobie poszła z domu i żebyśmy mogli zostać sami, mój tatuś, ja i ty. Bo ja ciebie...

Całkowicie zaskoczona, poczuła, że usta dziecka szukają jej ust.

– Mój Boże, mój Boże – uwolniła się z jego ramion, popychając go, potrząsając nim. Potykając się wypadła z pokoju, wytarła sobie usta, przeżegnała się. Zdawało jej się, że jeśli nie zaczerpnie powietrza, serce jej pęknie z wściekłości. – Mój Boże, mój Boże.

Już na korytarzu, usłyszała, jak Fonsito znów się śmieje. Nie było w tym złośliwości ani szyderstwa z miotającego nią wstydu i oburzenia. Śmiał się radośnie, jakby ciesząc się z własnego żartu. Ten śmiech, świeży, potoczysty, zdrowy, dziecięcy, zagłuszał szmer spływającej do umywalki wody, wydawał się wypełniać sobą noc i unosić ku owym gwiazdom, które, wyjątkowo tego wieczoru, ukazały się na brunatnym niebie Limy.